

Elizabeth Lowell

Gorączka zmysłów

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ryan McCall wyskoczył z poobijanego samochodu terenowego i od razu zaczął odpinać guziki swojej "miejskiej" koszuli. Przyleciał prosto z Teksasu na małe, lokalne lotnisko w stanie Utah samolotem, który kupił na swój prywatny użytek. Mógł dzięki niemu powracać do domu bez chwili zwłoki. Była to jedyna luksusowa rzecz, którą posiadał. Droga z lotniska wiodła prymitywnym, wyboistym szlakiem, ale Rye rozkoszował się tą jazdą, gdyż każdy kamień i koleina znaczyły, że jest coraz dalej od ojca, którego kochał, ale z którym nie potrafił wytrzymać dłużej niż parę minut.

- Ale i tak ta podróż się opłacała - powiedział do siebie głośno, przeciągając się i prostując silne ramiona. - Właśnie takiego byka potrzebowałem dla mojego stada.

Niestety, aż dwa tygodnie Rye musiał przekonywać Edwarda McCalla II, że jego syn stanowczo nie ożeni się z jakąś nic niewartą pięknoscią z Houston tylko po to, żeby zdobyć tego byka. Potem już negocjacje potoczyły się bez kłopotów. .

Zwrócił twarz do słońca i uśmiechnął się, czując przyjemne ciepło. W Teksasie było gorąco. Za gorąco. Bardziej odpowiadał mu klimat górzystego Utah, gdzie skały i wiatry, niosące ;zapach dalekich sosen, łagodziły upał. Powietrze było suche, wspaniale czyste, zaś wijąca się przez jego tereny rzeczka miała chłodny, połyskujący błękitem, wartki nurt.

Stał tak, z zamkniętymi oczami, w rozpiętej koszuli, i czekał, aż ogarnie go spokój, który zawsze odczuwał będąc na swojej ziemi. Te dwa tygodnie bardzo się dłużyły. Ojciec właśnie skończył sześćdziesiąt lat i fakt, że nie ma jeszcze wnuka, który nosiłby jego nazwisko, wyprowl:!dzał go z równowagi - nawiązywał do tego mniej więcej sześć razy na godzinę. Nawet siostra, zazwyczaj lojalny sprzymierzeniec Rye'a, oświadczyła mu, że ma zamiar zaprosić pewną wspaniałą dziewczynę na zabawę taneczną, jaką co roku urządzał na swoim rancho na zakończenie lata. Mógł nie zwracać uwagi na to, co mówi siostra, ale nie był w stanie udawać, że nie widzi tych oblizujących wargi podlotków czy też sprytnych rozwódek, które drżały z niecierpliwości, by zanurzyć swe wylakierowane szpony w jego portfelu. Uśmiechnął się drwiąco. Teraz już mógł sobie na to pozwolić - był w domu, daleko od tych kobiet, i dziękował Bogu za każdą chwilę swojej wolności. Pogwizdując cicho, wyciągnął koszulę ze spodni i z kocią zwinnością wskoczył na ganek, nie dotykając nawet żadnego z trzech schodków.

W wieku dwudziestu jeden lat Rye odziedziczył małą posiadłość po matce i spędzał tam czas, kopiąc doły na słupy ogrodzeniowe, ścinając drzewa i zarządzając sobie konne przejażdżki. Skutki tej fizycznej pracy rzucały się w oczy - giętkość i gra mięśni pod opaloną skórą przyciągały wiele kobiecych spojrzeń. Rye jednak widział, jak jego ojciec i młodszy brat wielokrotnie padali ofiarą chciwych kobiet, i był przekonany, że wszystkie interesują się wyłącznie wysokością bankowego konta, czyli, innymi słowy, są nic niewarte.

Wszedł do domu i natychmiast zorientował się, że jest tam ktoś jeszcze. Zamiast słońcem świeżym powietrzem pachniało perfumami, co raczej nie sprawiło mu przyjemności. Rozejrzał się i zobaczył nieznaną kobietę stojącą w jadalni. Otworzyła właśnie szufladę w kredensie i przyglądała się zawartości z mieszaniną ciekawości i niedowierzania.

- Robisz inwentaryzację? - odezwał się chłodno. Kobieta wydała z siebie okrzyk zaskoczenia i odwróciła się. Jej czarne włosy lśniły w słońcu, a wielkie, ciemne oczy przyglądały mu się badawczo. Rye'owi wystarczyło jedno szybkie spojrzenie, by zauważyć, że tym razem jego ojciec przeszedł samego siebie. Nieznajoma miała kształty greckiej bogini, a jej krawiec najwidoczniej doskonale wiedział, za co bierze pieniądze. Nawet najmniejsze zaokrąglenie nie pozostało nie podkreślone. Bluzka była uszyta tak, że guziki ledwie wytrzymały napór obfitego biustu. Rye automatycznie zaszeregował ją do kategorii "doświadczona rozwódka" .

- Cześć - powiedziała z uśmiechem, wyciągając do niego rękę. - Nazywam się Cherry Larson.

- Do widzenia, Cherry. Powiedz tacie, że próbowałam, ale aż się potłukłam, bo tak brutalnie cię wyrzuciłem z domu. Może zrobi mu się ciebie żal i kupi ci jakąś błyskotkę. - Słowa były równie zimne

Jak spojrzenie szarych oczu, którym przeszył zaskoczoną kobietę.

- Tacie?

- Edward McCall II - wyjaśnił Rye, idąc do przedpokoju i zdejmując po drodze koszulę. - To ten facet z Teksasu, który zapłacił ci, żebyś mnie uwiodła.

- Och. - Zaskoczyło ją to. - On ci powiedział?

- Nie musiał. To jemu podobają się przekwitłe brunetki; a nie mnie.

Trzasnął drzwiami sypialni, zostawiając Cherry samą, aby w spokoju mogła przejrzeć jego stalowe sztucce. Gdy po kilku chwilach znów się pojawił, ubrany w dzinsy, roboczą koszulę i wysokie buty, dziewczyna wciąż stała w tym samym miejscu. Rye minął ją, nie zaszczycając nawet jedynym spojrzeniem.

- Wybieram się na przejażdżkę - powiedział, zdejmując kapelusz z kołka przy drzwiach kuchennych. - Kiedy wrócę, ciebie ma tu nie być.

- Ale ... A jak się dostanę do miasta?

- Poszukaj kowboja z siwymi włosami. Nazywa się Lassiter. On uwielbia podwozić takie panienki jak ty.

Rye szedł do stajni zamaszystym krokiem, wyładowując złóŚć. Od razu zobaczył Devila, swojego ulubionego wierzchowca. Wielki koń stał przywiązany do ogrodzenia zagrody i oganiał się od much długim, czarnym ogonem. Był już osiodłany, co oznaczało, że któryś z jego pracowników wyczuł, jak właściciel zareaguje na tę niespodziankę w domu. Przypuszczał, że tym domyślnym kowbojem jest Jim, który, chociaż sam był szczęśliwym mężem, w pełni rozumiał zachowanie swego pracodawcy.

- Jim, zasłużyłeś sobie na nagrodę - mruknął Rye, odwiązując wodze i wskazując na konia.

Nie było nikogo w zasięgu wzroku, kiedy cwałował obok stajni. Przez chwilę dziwił się, dlaczego żaden z jego ludzi nie wyszedł, żeby się przywitać, lecz zaraz uzmysłowił sobie, że wszyscy pewnie gdzieś się pochowali i śmieją się, przewidując jego reakcję na widok dorodnej kusicielki, która pojawiła się w jego pustelni. Powinni byli uprzedzić go o obecności Cherry, ale to popsułoby żart, a kowboje kochają dobrą zabawę nade wszystko. Wbrew swoim chęciom, Rye musiał się uśmiechnąć, a następnie roześmiał się w głos. Odwrócił się akurat w takim momencie, że przyłapał kilku mężczyzn wyglądających ze stajni. Pomachał im swoim czarnym kapeluszem i puścił się galopem.

Kiedy już znalazł się na drodze prowadzącej na Łąkę McCalla, Rye znów mógł się odprężyć i cieszyć swoją wolnością. Ta wysoko położona, mała łąka była jego ulubionym zakątkiem, ostatecznym schronieniem przed frustracją, jaką sprawiało bycie Edwardem Ryanem McCallem III. Zwykle zjawiał się tam zaraz po spłynięciu śniegów, ale w tym roku wiosna nadeszła bardzo późno. Nie zdążył pojechać na łąkę przed wyjazdem do Houston, gdzie chciał odkupić od ojca jednego z jego wystawowych byków.

Zanim Rye kupił rancho, górskich łąk używano jako letnich pastwisk dla bydła i owiec. Na większości z nich wciąż zresztą wypasano bydło. Jedynie ten mały, wysoko położony skrawek ziemi, który zaczął być nazywany Łąką McCalla, od dziesięciu lat leżał odłogiem. Argumenty profesora Thompsona przekonały go, że powinien dać przykład innym właścicielom ziemi w okolicy i zgodzić się, by niewielki kawałek jego terenu powrócił do tego stanu, w jakim znajdował się, zanim biały człowiek przybył na Zachód. Zaś wyniki tego eksperymentu - rozwój pewnych gatunków roślin i powrót dziko żyjących zwierząt - pozwolą pomóc innym krainom w rekultywacji pastwisk.

Rye'a nie trzeba było długo namawiać, by zgodził się na ten eksperyment. Chociaż pochodził z miasta, nigdy nie lubił tam mieszkać. Najbardziej kochał tę dziką krainę, uwielbiał jeździć konno w słońcu, wietrze i ciszy, ciesząc się widokiem gór, ze stokami pokrytymi wspaniałym płaszczem wiecznie zielonych lasów iglastych i drżącej osiki, której listowie pod pieszczotą wiatru mieniło się odcieniami zieleni i srebrzystej szarości. Ta ziemia przynosiła mu ukojenie.

I w przeciwieństwie do kobiety - jeżeli dba się o ziemię, to ona za to odplaci.

Tego samego popołudnia Lisa Johansen siedziała przy górskim strumyku i leniwie poruszała palcami w zimnej, czystej wodzie. Oblewające ją swoim blaskiem słońce było równie ciepłe i zmysłowe jak jej marzenia. "On będzie jak te góry - silny, potężny, wytrwały. Spójrzy na mnie i zobaczy nie włóczącą się po świecie dziewczynę, ale kobietę ze swoich snów. Uśmiechnie się i wyciągnie do mnie ręce, a potem weźmie mnie w ramiona i..."

Nieważne, czy spała, czy to działa się na jawie, marzenia zawsze kończyły się w tym miejscu. Lisa musiała przyznać, że inaczej być nie mogło - teoretycznie wiedziała doskonale, co następuje potem, ale jej osobiste doświadczenia w męskich ramionach były równe zeru. Przez całe dotychczasowe życie podróżowała po słabo zaludnionych rejonach świata razem z zajmującymi się antropologią rodzicami, co pociągało za sobą izolację od ludzi. Oczywiście, stykała się z mężczyznami, ale byli to prawie wyłącznie członkowie prymitywnych plemion.

Lisa westchnęła, nabrała pełną dłoń wody i zaczęła pić, czując, jak chłód powoli przenika jej ciało. Już minęły dwa tygodnie, a ona wciąż nie mogła nacieszyć się tą górską wodą - przejrzystą, słodką i

czystą, płynącą w dzień i w nocy, czarodziejskim płynem, który zawsze był w zasięgu ręki. Pochyliła się, żeby znów się napić, i wtedy doszedł ją stłumiony stukot kopyt. Wyprostowała się i osłoniła ręką oczy. U wylotu doliny widać było dwóch jeźdźców. Wstała szybko, wytarła ręce o znoszone dzinsy i w myśli zrobiła przegląd swoich mizernych zapasów. Kiedy zdecydowała się na pracę na Łące McCalla przez całe to krótkie, gorące lato, nie zdawała sobie sprawy, że będzie musiała aż tyle wydać na jedzenie ze skromnego budżetu, jakim dysponowała. Ale z drugiej strony nie przypuszczała, że kowboje pracujący u McCalla będą tak częstymi gośćmi na jej łące. Od czasu kiedy spotkała ich po raz pierwszy przed dziesięcioma dniami, przyjeżdżali niemal codziennie, zaklinając się, że u nikogo nie jedli tak dobrego chleba ze smażonym bekonem jak u niej.

Niższy z kowbojów zdjął kapelusz i pomachał nim na powitanie. Lisa odpowiedziała na to pozdrowienie, rozpoznając Lassitera, najważniejszego z pracowników Bossa Maca, jak nazywano właściciela rancho. Jego towarzysz miał na imię Jim.

- Dzień dobry, panno Liso - powiedział Lassiter, zsiadając z konia. - Co tam słyhać u nasion? Jeszcze nie wy dostały się przez ogrodzenie i nie uleciały w siną dal?

Lisa uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Od chwili kiedy powiedziała mu, że jej zadaniem jest obserwacja, jak różne trawy wyrastają z nasion na tej wielkiej, ogrodzonej łące, dowcipkował na ten temat bezustannie.

- Jeszcze nie zginęło mi nawet ziarenko - odpowiedziała z poważną miną. - Ale to może dlatego, że byłam bardzo ostrożna, tak jak pan mi radził. Pilnowałam ich zwłaszcza w porach, kiedy księżyc był w pełni. W takich chwilach różne dziwne rzeczy mają ochotę fruwać.

Lassiter słyszał w słowach Lisy dokładne echo swoich własnych, mówionych z kamienną twarzą przestroż, i wiedział, że dziewczyna stroi sobie z niego żarty. Zaśmiał się i uderzył się kapeluszem po udzie, wzbijając mały obłoczek kurzu prawie tak siwego jak jego włosy.

- Rzeczywiście tak bywa. Dobrze się pani spisała. Kiedy Boss Mac wróci z Houston, nie znajdzie ani jednego zaginionego nasionka. Na razie jest wściekły jak diabli, bo przez tych parę tygodni jego tatuś zadbał, żeby bez przerwy. oblegało go mnóstwo chciwych klaczek.

Lisa uśmiechnęła się smutno. Wiedziała, jak to jest, kiedy człowiek nie zgadza się ze swoimi bliskimi w sprawie małżeństwa. Jej rodzice chcieli, żeby wyszła za mąż za kogoś takiego jak oni, za naukowca z żyłką do szukania przygód. Dlatego właśnie wysłali ją do USA i poprosili starego przyjaciela, profesora Thompsona, żeby znalazł dla niej odpowiedniego narzeczonego. Przyjechała tutaj chętnie, ale nie po to, by znaleźć męża. Chciała zobaczyć, czy mogłaby zadomowić się w Stanach, czy znalazłaby tutaj lekarstwo na niepokój, który tlił się w jej sercu i palił jak gorączka w snach ..

- Akurat zbliża się pora obiadu - powiedziała. - Może napoicie wasze konie, a ja w tym czasie rozpalę ogień.

Lassiter i Jim jak na komendę ruszyli do koni, ale zamiast odprowadzić je do strumyka, odwiązali worki, które mieli przytroczone do siodeł.

- Żona mówi, że pani na pewno ma już dość tego chleba z bekonem i fasolą - odezwał się Jim, wyciągając swój worek. - Dla odmiany przesyła pani trochę ciastek i innych rzeczy.

Zanim zdążyła się odezwać, Lassiter podał jej dwa wypchane worki.

- Kucharz powiedział, że nie da rady zużyć wszystkich zapasów, zanim się zepsują. Wyświadczy nam pani przysługę, biorąc to ,od nas.

Zamrugła oczami, żeby pozbyć się czegoś piekącego pod powiekami, i podziękowała im. Świadomość, że hojność spotyka się w każdym zakątku świata, była dla niej pokrzepiająca.

Mężczyźni poili konie, a Lisa tymczasem dorzuciła do ognia część swego kurczącego się już zapasu drewna, szybko zagniotła ciasto i sprawdziła zawartość poczerńiałego od sadzy czajnika, który służył za dzbanek do kawy. Ku jej radości, w workach był też spory zapas kawy, a oprócz tego świeże i suszone owoce, mąka, wołowina, ryż, sól, olej i inne rzeczy, którym nie zdążyła jeszcze się przyjrzeć. To wszystko było dla niej prawdziwym skarbem, gdyż przybyła do Ameryki, nie mając prawie pieniędzy. Rodzice zazwyczaj wydawali to, co pozostało z przeznaczonych na badania funduszy, na pomoc dla rozpaczliwie biednych tubylców. Zaś praca na Łące McCalla dawała zaledwie dach nad głową, niewielką, ściśle określoną sumę na utrzymanie i wynagrodzenie tak małe, że właściwie powinno być nazwane kieszonkowym.

Chata, w której mieszkała, była bardzo stara.

Zajmujący ją w poprzednich latach studenci żartowali, że zbudowano ją zaraz po tym, gdy Pan Bóg skończył stwarzać otaczające ją góry. Było w niej palenisko, ściany, podłoga, dach i niewiele więcej. Lisie nie przeszkadzał brak elektryczności, bieżącej wody czy innych udogodnień. Może tylko byłaby zadowolona, mając parę tych pięknych dywanów, które wnoszą trochę wygody do surowego życia Beduinów, ale i tak była szczęśliwa, że przebywa w krainie słońca, czystego powietrza, obfitości

wody i niemal zupełnego braku much. To znaczyło więcej niż jakikolwiek luksus.

A jeżeli zapragnęła dotyku czegoś miękkiego i wytwornego, wystarczyło, by otworzyła swoją walizkę i mogła podziwiać pożegnalny prezent od rodziców - dwa zwoje lnu, ale tak cienkiego i delikatnego, że wyglądał jak jedwab. Jeden kawałek, z którego miała być uszyta sukienka, miał lśniący, gołębio-szary kolor, drugi zaś był dokładnie w takim samym ametystowym odcieniu jak jej oczy. On również przeznaczony był na sukienkę.

Lisa nigdy nie interesowała się strojami. Oczekiwała od życia czegoś więcej niż tylko mężczyzny, dla którego byłaby zarazem rodzicielką synów i zwierzęciem pociągowym. Kilka tubylczych małżeństw, jakie widziała, wywołało w niej jedynie mieszany podziw dla kobiecej wytrzymałości. Domyślała się, dlaczego dziewczęta w jej wieku, a nawet młodsze, przyglądały się mężczyznom takimi pociemniałymi, pytającymi oczami, nie kryjąc wymownego uśmiechu. Ale u siebie nigdy nie poczuła tej burzącej krew w żyłach gorączki, jaką widziała u innych dziewcząt i która sprawiała, że zapominały o przykładach matek, babek, sióstr.

Gdzieś głęboko Lisa miała nadzieję, że właśnie to odnajdzie wędrując po świecie - gorączkę, która pożera ciało i umysł, która wszystkimi drogami przepala się aż do samej duszy. Ale nigdy nie czuła się dalej od tego niż w Ameryce, gdzie chłopcy w jej wieku wyglądali bardzo młodo - pełni śmiechu i niedoświadczeni, nie znający głodu ani śmierci. Kiedy mieszkała u profesora Thompsona, czekając na możliwość dostania się na Łąkę McCalla, spotykała wielu studentów, ale ani razu nie spojrzała na mężczyznę z prądawną kobiecą ciekawością we wzroku i gorączką rosnącą we krwi.

Zaczynała już wątpić, czy kiedykolwiek to nastąpi.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Ale zapach! - powiedział Lassiter, podchodząc do gotującej Lisy. - Wie pani, po raz pierwszy nie musimy uczyć kogoś ze studentów, jak się robi porządną kawę na kempingu.

- W Maroku kawa dopiero wtedy uważana jest za dobrą, jeżeli jest tak gęsta, że ledwo da się nalewać - rzekła Lisa.

- Tak? Musi pani któregoś dnia zrobić mi taką.

- W takim razie proszę przynieść dużo skondensowanego mleka. I cukier.

Lassiter rozejrzał się dookoła, podziwiając porządek, jaki zaprowadziła Lisa. Obok paleniska, w zasięgu ręki, leżały poukładane w stos gałązki do rozpalania, grubsze kawałki i kilka większych klocków drewna. Podłoga była świeżo zamieciona zrobioną z gałązek miotłą. Na dużej kłodzie leżały rzędem narzędzia, które przez całe lata używania przez studentów zostały połamane lub porozrzucane po okolicy. Były tam przeróżne rzeczy, od cienkiego szydła po poobijany klin i młot, służące do rozszczepiania dużych kłód. Wielka dwustronna siekiera nosiła ślady niedawnego ostrzenia, chociaż Lassiter nie mógł sobie wyobrazić, jak Lisa była w stanie to zrobić. Ani też zresztą, że w ogóle mogła używać tej siekiery - trzonek był długi na ponad metr, a ona sama miała chyba najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu.

Widok siekiery przypomniał Lassiterowi, że miał sprawdzić zapas drewna na opał. W przeciwieństwie do pozostałych studentów, Lisa gotowała na palenisku, a nie na kuchence turystycznej. Przypuszczał, że nawet nie miała czegoś takiego. Podejrzewał zresztą, że w ogóle nie miała niczego poza ubraniem na sobie i matą do spania, wietrzącą się właśnie na krzaku. Jednak mimo widocznego braku pieniędzy Lisa nigdy nie żałowała jedzenia ani jemu, ani żadnemu innemu kowbojowi pracującemu u McCalla, niezależnie od tego, ilu ich przyszło i jak często się pokazywali. Zawsze proponowała coś do zjedzenia, nieważne, jaka była pora dnia, tak jakby wiedziała, co to znaczy głód i nie chciała, aby ktokolwiek opuścił obozowisko z pustym żołądkiem.

- Jim, może byśmy przyciągnęli tu parę pni - powiedział, wkładając kapelusz. - Nie zdążymy ich dzisiaj porąbać, ale chociaż będą przygotowane. Gałęzie są bardzo dobre na ognisko, ale porządne gotowanie wymaga porządnego ognia.

- Wcale nie musicie ... - zaczęła Lisa. - Ja mogę ...

- Te cholerne kłody blokują szlak - przerwał jej Jim. Chwycił ciężką siekierę jedną ręką i ruszył do swojego konia. - Boss Mac zedrze z nas skórę, jeżeli jakiś koń potknie się przez nie i okuleje.

- Pani tylko zrobi nam przysługę, gdy pani je spali - dodał Lassiter stanowczo, wkładając nogę w strzemię.

- Dziękuję - powiedziała Lisa, patrząc kolejno na obu mężczyzn. - Trochę drzewa mi się przyda. - Ale gdy zaczęli już się oddalać, coś sobie nagle przypomniała. - Tylko uważajcie, żeby nie brać niczego z ogrodzonego terenu! - W końcu przecież po to tu była. Miała chronić wszystko, co znajdowało się za ogrodzeniem, przed działalnością ludzką, aby łąka powoli mogła wracać do swego pierwotnego stanu.

- Ma się rozumieć. - Lassiter podniósł rękę uspakajającym gestem.

Nie potrzebowali oddalać się więcej niż kilkadziesiąt metrów, aby znaleźć pnie, których szukali - niezbyt grube sosny, zwalone kiedyś i leżące tak od paru lat. Zaczęli szykować kłody do transportu, a ich głosy słychać było wyraźnie w górskiej ciszy. Lisa gotowała, słuchając ich rozmowy, i uśmiechała się od czasu do czasu, kiedy szczególnie oporny pień wywoływał barwne komentarze. Potem głównym tematem stał się ów tajemniczy Boss Mac i Lisa zauważyła, że mimowolnie wstrzymuje oddech, żeby nie uronić nawet jednego słowa. Wiedziała tylko dwie rzeczy o nieobecnym właścicielu Łąki McCalla - jedną było to, że jego ojciec usilnie pragnął, by syn ożenił się i miał syna, zaś druga, że ci ludzie poważali Bossa Maca bardziej niż kogokolwiek, z wyjątkiem Boga.

- I wtedy on powiedział tej rudej, że jak chce, żeby ją ktoś podwiózł, to powinna wyjść na drogę i złapać okazję. - Lassiter roześmiał się i mówił dalej: - Była tak wściekła, że na chwilę ją zatkało. Pewnie myślała, że kilka nocy z szefem zaprowadzi ją do ołtarza. - Przez chwilę słychać było tylko stuk siekier odrąbujących gałęzie. - W końcu rudej wróciła mowa. Rany! W życiu nie słyszałem takiego słownictwa.

- Widziałeś tę, co się teraz na niego zasadziła? - spytał Jim.

Stęknął z wysiłku, wbijając ciężką siekierę w kłodę i robiąc nacięcie, które przytrzyma linę, kiedy będą ciągnęli pień do obozu. Lassiter umocował linę, a następnie wskoczył na siodło i okręcił ją kilka razy wokół łęku. Lekko trącił konia piętami i ten ruszył powoli w stronę chatki.

- No jak, widziałeś ją? - powtórzył Jim, również dosiadając konia i zastanawiając się, jak też wygląda ostatnia kandydatka do łóżka szefa.

- Jasne. - Lassiter zagwizdał na mak podziwu. - Wielkie czarne oczy jak u sarny. Czarne włosy do bioder, a te biodra pełne i miękkie. O Jezu! Mówię ci, Jim, nie mam faceta, który nie chciałby się wspiąć na to siodło.

- Diabła tam, nie znasz - burknął Jim. - A co z Bossem Macem?

- Och, nie mówię o tym, żeby się z taką żenić - odparł Lassiter. - Tatuś ci tego nie wytłumaczył? Trzeba być głupim, żeby żenić się z koniem tylko dlatego, że przyjemnie jest pojeździć tam i z powrotem. Spójrz na mnie.

- Właśnie patrzę i myślę, że większość kobiet wolałaby raczej konia.

Lisa nie mogła powstrzymać śmiechu, a oni zdali sobie sprawę, że tę rozmowę było świetnie słychać w obozie. Kiedy pojawili się z powrotem, mieli wyraźnie zakłopotane miny.

- Przepraszamy, panno Liso - mruknął Jim. - Nie mówilibyśmy takich rzeczy, gdybyśmy wiedzieli, że pani słucha.

- Nic się nie stało - powiedziała pośpiesznie. - Naprawdę. W Afryce często siadywaliśmy wokół ogniska i rozmawialiśmy o Ibrahimie, jego czterech żonach i ośmiu nałożnicach. I nikt nie czuł się zawstydzony.

- Cztery żony? - spytał Jim.

- Osiem nałożnic? - nie dowierzał Lassiter.

- Czyli razem dwanaście - dodała Lisa, śmiejąc się.

- Rany! Tam muszą być fest chłopcy, prawda? - powiedział Lassiter tonem pełnym podziwu.

- Głupi - mruknął Jim. - Po prostu głupi.

- Bogaci - wyjaśniła Lisa wesoło. - Wy Wypasacie bydło, Ibrahim owce, ale tak naprawdę wszędzie jest tak samo. Zawsze silny, głupi, bogaty mężczyzna może mieć tyle pięknych i głupich kobiet, ile będzie mógł ich sobie kupić.

Lassiter odrzucił głowę do tyłu i śmiał się na całe gardło.

- Ale niech pani nie myśli, że szef jest głupi. O, nie!

- To święta prawda - dodał Jim z przekonaniem.

- Boss Mac wcale nie bierze się za te wszystkie dziewczyny, które za nim łążą. Założę się, że nie będzie nic robił z tą, która czeka na niego na rancho, tylko da jej kopniaka w ten wynajmowany za dużą forszę tyłek. Przepraszam panią - dodał, oblewając się rumieńcem. - Zapomniałem się. Ale to prawda, Boss Mac to dobry człowiek i byłby szczęśliwy, gdyby jego tata przestał podsyłać mu te używane klaczki.

- Nie byłbym taki pewien, jeżeli chodzi o tę ostatnią - wtrącił Lassiter z trochę lubieżnym uśmiechem. - Wcale nie będę zdziwiony, jeśli ją sobie zatrzyma. Jeżeli nie z innego powodu, to chociażby dlatego, że potrzebuje jakiejś panny na tańce, w przeciwnym razie wszystkie dziewczyny w promieniu trzystu kilometrów zlecą się do niego jak muchy do świeżego ... ee, miodu.

- Tańce są dopiero za sześć tygodni - zaprotestował Jim. - Szef nigdy nie pozwalał kobietom zostawać tu tak długo.

- Nigdy nie miał tu takiej kobiety - powiedział Lassiter stanowczo. - Jak się na nią patrzy, to dzinsy nagle stają się za ciasne. Wiem, co mówię.

. Lisa zaczerwieniła się i o mało nie upuściła patelni.

Nie mogła przestać myśleć o tym, jakie to może być uczucie, kiedy się jest obiektem pożądania. Ale przypomniała sobie opis tej kobiety. "Wielkie, czarne oczy jak u sarny. Czarne włosy do bioder, a te biodra pełne i miękkie". Jezu!

Z posepną miną przewracała bekon na patelni, zdając sobie sprawę, że taka blada, chuda, niedoświadczona blondynka może rozpaść co najwyżej ognisko, żeby ugotować obiad. Devil rozdymał czarne nozdrza, parsknął i szarpał wędzidło, czując wiatr spływający z wysokich gór. Na łąkę prowadziły dwa szlaki. Jeden był starą, zniszczoną drogą, zbudowaną przed ponad stu laty dla wozów pierwszych osadników. Teraz służyła do przepędzania bydła na letni wypas na łące. Rye wyczytał ze śladów podków, że ostatnio jego ludzie jeździli nią zadziwiająco często. Dwa świeże ślady powiedziały mu, że wielki kasztan Lassitera i mniejszy koń Jima właśnie zjechały z łąki, kierując się na wschód, zapewne żeby sprawdzić, jak daleko odeszło bydło.

Druga droga była właściwie ścieżką - urwistą, wąską i prawie niewidoczną. Rye natrafił na nią przypadkiem przed sześciu laty i od tej pory używał jej, kiedy za bardzo spieszyło mu się, żeby jechać okreśną drogą. Większość koni miałyby na niej kłopoty, ale Devil pokonywał ją z pewnością zwierzęcia urodzonego i wychowanego w górach.

Po wielu niebezpiecznych wyboistych zakrętach droga Wychodziła na pochyłą skarpe i osikowy zagajnik. Zaraz za laskiem, na samym brzegu odosobnionej łąki znajdował się zniszczony szałas. Rye usłyszał ochrypy głos sójki i serię dziwnych dźwięków, przypo minających odgłos rąbania drzewa. Przez chwilę nasłuchiwał, ale odgłosy wydawały mu się zbyt słabe, rzadkie i nierówne, jak na rytmiczne uderzenia przy rąbaniu.

Objechał chatkę i to, co zobaczył nagle w odległości paru metrów, sprawiło, że wstrzymał konia i przyglądał się ze zdziwieniem i niedowierzaniem. Te dziwne dźwięki były istotnie odgłosami rąbania, ale drwałem, zwróconym do niego tyłem, był kilkunastoletni chłopiec o włosach koloru lnu, niewiele wyższy niż sama siekiera. Mimo że wysoko stawał na palcach i bardzo się natężył, brakowało mu wzrostu i siły, by chwycić ciężką siekierę we właściwy sposób.

Ale tak czy owak, jego praca przynosiła pewne skutki. Z jednej strony pniaka do rąbania leżała niewielka sterta porąbanego drewna. Jednak stos nie tkniętych kłód po drugiej stronie był w dalszym ciągu nieporównywalnie wielki.

Nagle chłopak usłyszał niespokojne parsknięcie Devila, odwrócił głowę ... i Rye poczuł się, jakby dostał kopniaka. "Chłopak" był młodą kobietą o pełnych piersiach i ciele smukłym, gibkim, które sprawia, że krew w żyłach mężczyzny staje się gorąca i gęsta. To, co wydawało się być chłopięcą czupryną, było platynowego koloru ciężkimi warkoczami, upiętymi wysoko na głowie. Nieznajoma przyglądała mu się ametystowego koloru oczami z ciekawością, spokojem i niewinnością, która przywołała na myśl spojrzenie syjamskiego kota.

Nagle miejsce podniecenia zajęła wściekłość. Niewinność? Jak jasna cholera! Ona jest po prostu jeszcze jedną chciwą samiczką czyhającą na jego pieniądze i na dodatek ma czelność robić to właśnie tutaj. Podjechał jeszcze bliżej. Dziewczyna wcale nie wyglądała na przestraszoną. Ściągnął wodze i patrzył na nią, jakby chciał się upewnić, czy rzeczywiście ta szczupła, delikatna, niemal niezemska piękność, która stała, obserwując go niezgłębionymi oczami i głaszcząc bezwiednie ręką kark niespokojnego konia, mogła chytrze polować na bogatego męża.

Lisa zauważyła, że przybysz szacuje ją wzrokiem i przez jej ciało. przeszła nagle łagodna, powolna fala uniesienia, która zrodziła się gdzieś w jej wnętrzu i dotarła aż do samej duszy. Targały nią przeróżne uczucia: szalone ożywienie pomieszone ze strachem, poczucie oderwania od rzeczywistości i jednocześnie myśl, że jeszcze nigdy nie czuła mocniej, że żyje. A przede wszystkim wiedziała z narastającą z każdą sekundą pewnością, stojąc tak bez ruchu i przyglądając się temu obcemu, który nadjechał niespodziewanie i nie mówiąc słowa przewrócił całe jej życie do góry nogami, że urodziła się po to, by należeć do tego mężczyzny.

Patrzyła na niego i nie czuła żadnego wahania, żadnej potrzeby ucieczki czy wątpliwości. Przebywała już w tak wielu różnych miejscach i wśród tak różnych kultur, na krawędzi życia i śmierci, że nie mogła uchylać się przed czymś nowym, dziwnym czy całkowicie nieoczekiwanym. Nie potrafiła odwrócić wzroku od nieznanego. W ciszy jakby naładowanej elektrycznością patrzyła na jego zakurzone buty, silne nogi, wąskie biodra, ramiona tak szerokie, że mogłyby przesłonić słońce, silną szczękę z cieniem zarostu i zadziwiająco wrażliwe usta. I oczy koloru deszczu. Była zbyt zaskoczona, by ukryć oczarowanie, i zbyt niewinna, by zrozumieć prądy

zmysłowości i pożądania, które wstrząsały jej ciałem, powodując przyływ podniecenia.

Rye ujrzał jej reakcję w postaci delikatnego rumieńca i poczuł w odpowiedzi gorące pożądanie. Z niechęcią musiał przyznać, że gust ojca zmienił się nadszpiewanie. Ta kandydatka nie miała nic wspólnego z pełną, przekwitającą różą. Była w niej jakaś wewnętrzna elegancja, która przywołała mu na myśl przejrzysty wdzięk płomienia świecy. Czuło się też w niej jakąś migotliwą, choć niemal ukrytą zmysłowość, która sprawiała, że jego ciało stężało w oczekiwaniu.

- No mała, ty rzeczywiście jesteś inna - odezwał się w końcu. - Jeśli zamiast pierścionka zgodzisz się na bransoletkę z brylantami, to możemy spędzić przyjemnie parę chwil.

Lisa słyszała te słowa jakby z oddali. Zamrugła powiekami, wzięła głęboki wdech i opanowała się, by stawić czoło rzeczywistości i temu nieznanemu o szorstkim głosie.

- Przepraszam bardzo - powiedziała powoli - ale ja nie rozumiem.

- No pewnie, nie rozumiesz - odparł, ignorując skok tętna, kiedy usłyszał matową miękkość jej głosu. - Nie mam nic przeciwko temu, by płacić za to, czego chcę, a ty nie masz nic przeciwko przyjmowaniu zapłaty. Jak długo będziemy się tego trzymać, tak długo wszystko pójdzie dobrze. Do diabła - dodał widząc, że jej oddech przyspieszył się nagle. - Pójdzie lepiej niż dobrze. W naszym ogniu spali się ta cała cholerna góra .

Lisa nawet nie słyszała ostatnich słów. W jej głowic wciąż brzmiały słowa opisujące ją jako dziewczynę, która "nie ma nic przeciwko przyjmowaniu zapłaty". Wiedziała oczywiście o istnieniu prostytutek, ale wzięcie jej za jedną z nich przez mężczyznę, który na chwilę przesłonił cały jej świat, wprowadziło ją w furję. Zdała sobie sprawę, że się pomyliła, że on nie poczuł nic . głębokiego, nie miał w sobie takiej gotowości do bycia z nią, jak ona w stosunku do niego. Widział tylko towar, na który miał ochotę i zamierzał go nabyć.

Ametystowe oczy natychmiast zmieniły wyraz i zmierzyły go uważnie. zauważyły, że kołnierzyk i mankiety koszuli były wystrzępione i brakowało guzika w miejscu, gdzie materiał napinał się na piersi. Dżinsy miał wypłowiałe i wytarte, aż prawie przezroczyste, zaś buty podrapane i ze schodzonymi obcasami. To miał być ten bogacz, który chciał kupić sobie jej ciało? Nagle zrobiła coś, co nie zdarzyło jej się od chwili, gdy miała osiem lat - straciła panowanie nad sobą.

- Z kogo chcesz zrobić durnia? - spytała głosem, w którym nie było ani śladu miękkości. - Nie mógłbyś sobie pozwolić nawet na szpilkę do krawata ze zwykłym szkiełkiem, a co tu mówić o bransoletce z brylantami.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się takie zaskoczenie, że poczuła nagle wstyd. Uzmysłowała sobie, że on miał prawo przypuszczać, iż będzie raczej ucieszona tą propozycją, zważywszy na sposób, w jaki na niego patrzyła. Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i przypomniała sobie to, co było zasadą znaną na całym świecie, niezależnie od kultury - mężczyźni, a zwłaszcza biedni mężczyźni, mają wybujałe poczucie dumy oraz bywają szorstcy, kiedy burczy im w żołądku. .

- Jeżeli jesteś wygłodniały, to tutaj jest chleb i bekon - powiedziała spokojnym już głosem, automatycznie proponując mu wszystko, co miała do jedzenia. - I ciastka - dorzuciła.

- Faktycznie jestem wygłodniały - odparł Rye, którego zaczęła trochę bawić ta sytuacja. - Uzgodnijmy tylko cenę.

- Ale to jest za darmo! - zawołała wstrząśnięta tym, że chciał zapłacić za taki prosty posiłek.

- Tak wszystkie mówią, a potem każda domaga się pierścionka.

Zbyt późno Lisa zdała sobie sprawę, że słowo "wygłodniały" może mieć też trochę inne znaczenie. Ponownie zapłonął w niej gniew. Zazwyczaj raczej śmiała się niż złościła, gdy coś źle się układało, ale pod wpływem gorąca rozchodzącego się po żyłach straciła poczucie humoru. Uśmiech tego mężczyzny - krzywy, ironiczny, przerażająco zmysłowy uśmiechek przyprawiał ją o furję.

- Czy zachowujesz się tak ordynarnie w stosunku do wszystkich? - spytała, wyraźnie podkreślając każde słowo.

- Tylko wobec panienek, które o to się proszą, czatując w moich ulubionych miejscach.

- Ja tutaj pracuję. A ty co robisz na tej łące oprócz tego, że marnujesz czas należący do Bossa Maca?

- Bossa Maca? - Jeszcze raz Rye nie potrafił ukryć zdziwienia.

- Tak, Bossa Maca. Tego, który płaci ci za wypasanie bydła. Chyba znasz to nazwisko?

Z niedowierzaniem zdał sobie sprawę, że dziewczyna przysłała, żeby zastawić na niego sidła, nie wie nawet, jak on wygląda. Już otwierał usta, by oświecić ją co do swej prawdziwej tożsamości, ale ujrzał śmieszność całej sytuacji. Postanowił nauczyć tę amatorkę zasad gry, w której zdecydowała się wziąć udział.

- Poddaję się - mruknął, uśmiechnął się i podniósł ręce do góry, jakby dziewczyna wycelowała w niego z rewolweru. - Tylko nie donieś na mnie do Bossa Maca. Dobrze go znasz? - spytał z niewinną miną. Ta nagła zmiana zachowania zdezorientowała Lisę.

- Nigdy go nie spotkałam - przyznała. - Jestem tu tylko od początku lata, żeby pilnować doświadczenia

profesora Thompsona - dodała, wskazując ręką na przecinający łąkę drewniany płot.

Rye miał wątpliwości, czy tylko o to chodziło, ale nic nie powiedział.

- No cóż, powinnaś na niego uważać - powiedział ostrzegawczym tonem. - Boss Mac to pies na kobiety.

- Mnie nie zaczepiał - odparła, z wdziękiem wzruszając ramionami. - Ani żaden z jego ludzi. Wszyscy zawsze byli dla mnie bardzo grzeczni. Z jednym niestety, wyjątkiem - dodała chłodno, patrząc prosto na niego.

- Wybacz mi - powiedział i uniósł kapelusz przeprasającym gestem. - Już więcej tak się nie zachowam. Znam Bossa Maca zbyt dobrze, żeby narażać się na jego gniew. Czy ta propozycja zjedzenia czegoś jest wciąż aktualna?

Przez chwilę stała tylko, patrząc na jego potężne ciało i odczuwając dziwne drzenie. Myśl o nim: głodnym, potrzebującym czegoś, co ona może mu dać, sprawiła, że poczuła się słabo.

- Oczywiście - odpowiedziała cicho, bojąc się, czy nie pomyśli, że mogłaby odmówić głodnemu jedzenia. - Przepraszam, że byłam nieuprzejma. Nazywam się Lisa Johansen.

Rye zawahał się. Nie chciał, żeby ta gra już się skończyła, wymienił więc tylko skróconą formę swojego drugiego imienia.

- Rye.

- Rye ... - wyszeptała Lisa.

Zastanawiała się, czy to jest jego imię, czy nazwisko.

Wahała się, ale nie zapytała. Wśród prymitywnych plemion imiona były czasem tabu, często świętością, ale zawsze rzeczą bardzo osobistą. Jeszcze raz powtórzyła jego imię - cicho, z przyjemnością, po prostu dlatego, że należało do niego, a teraz dla niej je wypowiedział.

- Rye ... Jedzenie będzie gotowe za parę minut. Jeśli chcesz się umyć, to tam pod ścianą domu grzeje się na słońcu garnek z wodą.

Rye przyglądał się dziewczynie, poszukując jakiejś oznaki wskazującej, że ta mała wie, kim on jest naprawdę. I nie dostrzegł absolutnie niczego, co pozwalało przypuszczać, że rozpoznała Edwarda Ryana McCalla III, nazywanego przez nieżyjącą matkę Ryanem, Rye'em przez przyjaciół, Eddym przez ojca i Bossem Makiem przez swoich pracowników; Patrzył na miękkie ruchy jej bioder, kiedy szła w kierunku ogniska, i nie wiedział, czy się złościć, czy śmiać z tego, że ona wie tak mało o swej potencjalnej zdobyczy, że nawet nie rozpoznała jego przydomka.

- Maleńka, jeszcze musisz się dużo uczyć - mruknął pod nosem. - A ja z przyjemnością dam ci kilka lekcji.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przyglądając się spokojnym, oszczędnym ruchom krzątającej się przy ognisku Lisy, Rye doszedł do wniosku, że ta ostatnia kandydatka ojca jest inna nie tylko z powodu swej niezwyklej, delikatnej urody. Zaskakujące było w niej to, że nie obawiała się ciężkiej pracy. Nie tylko chciała uporać się z wielką kłódą, używając siekiery, która była stara, tępa i przede wszystkim za ciężka dla niej, ale także znalazła czas, żeby uporządkować rupieciarnię, tworzącą się wokół chaty przez całe lata. Aluminiowe puszki, plastikowe pojemniki, szklane butelki, a także inne odpadki były ustawione w równych rzędach pod ścianą.

- Następnym razem przyniosę stary worek i wyniosę stąd te śmieci - zaproponował.

Lisa spojrzała na niego znad patelni umieszczonej na krzywym, poczerńiałym ruszcie, podpartym kamieniami, które przyniosła ze strumyka.

- śmieci?

- Te butelki i puszki - wyjaśnił.

- Aha. - Zdziwiła się, gdyż tam, skąd przybyła, wszystkie te rzeczy. byłyby bardzo użyteczne. Potrącone szkło można oszlifować, by zrobić z niego ozdoby, a jego ostre krawędzie mogły służyć do cięcia włókien czy skóry. Ona sama nieraz używała tej techniki, kiedy żyli wśród plemion zbyt biednych lub żyjących w miejscach oddalonych od ośrodków cywilizacji, by mogły kupić sobie prawdziwe noże. A na przykład plastikowe miękkie butle mogą być użyte do przechowywania wody, nasion, mąki czy soli albo, jak na wybrzeżach afrykańskich jezior, jako pływaki do sieci na ryby.

- Bardzo dziękuję - powiedziała ostrożnie. - Wolałabym zatrzymać je na razie, jeśli można. A co do

worka, to gdybyś mógł mi go przywieźć, to bardzo by mi się przydał. Mogłabym wtedy moczyć pranie w strumieniu bez obawy, że coś mi ucieknie. Jego prąd jest okropnie szybki.

Rye patrzył na nią, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał na temat tej zbieraniny śmieci i prania w strumieniu. Pamiętał, że inni studenci jeździli raz na tydzień do miasta na zakupy i do pralni, a ekwipunku mieli tyle, że jego dwa najsilniejsze konie niemal uginały się pod tym ciężarem. Natomiast wyglądało na to, że Lisa nie przywiozła ze sobą nic oprócz patelni i wiadra. Jej ubranie było czyste, ale bardzo sfatygowane. Na dzinsach i koszuli miała łąty, przyszyte niewiarygodnie drobnym, misternym ścięciem. Najpierw przypuszczał, że to może teraz taka moda, żeby nowe rzeczy miały specjalnie znoszony wygląd. Teraz zaczynał w to wątpić. Może ona lubi chodzić w starych, wygodnych ubraniach, tak jak zresztą i on.

A może po prostu tylko takie miała.

Lisa nie zauważyła, że przybysz przygląda się jej ubraniu z takim zastanowieniem. Była zajęta odcinaniem jeszcze jednego plastra bekonu z kawałka przywiezionego przez Lassitera. Używała do tego złamanego scyzoryka, który znalazła w chwastach na podwórku przed domem. Niestety, ośelki nie udało się jej znaleźć. Usunęła rdzę, ale i tak ostrze nie nadawało się nawet do krojenia masła.

Mruknąwszy jakieś słowo w obcym języku, odłożyła na bok ten beznadziejnie tępy nóż i podeszła do ściany chaty. Wybrała ostry odłamek szkła, wróciła do ogniska i zaczęła kroić bekon lekkimi, szybkimi pociągnięciami, trzymając szkło między kciukiem i palcem wskazującym.

- Zginał ci nóż? - spytał Rye, nie starając się nawet ukryć zdumienia.

- Nie. Tyle że ten, który tu znalazłam, był mocno zardzewiały - powiedziała, kładąc plaster bekonu na żeliwnej patelni.

- Aha. Jadę jutro do miasta. Czy mam ci przywieźć nowy?

Lisa spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- To bardzo miło z twojej strony, ale znalazłam tu dosyć szkła, żeby wystarczyło na kilka lat.

- Szkła? - powtórzył.

- Tak - powiedziała. - No i jest tu pełno poroży jeleni, więc można zrobić ostrza.

- Poroży jeleni?

Spostrzegła wyraz jego twarzy i roześmiała się cicho, gdy uzmysłowiła sobie, jak to musiało zabrzmieć.

- Używa się szpica rogu, żeby zaostrzyć brzegi, kiedy krawędź się stępi - wyjaśniła. - Szkło nie łamie się w prostą linię, tylko raczej tworzy wiele małych krzywizn. Trzeba więc przyłożyć czubek rogu do brzegu i przycisnąć, a wtedy odpadną małe odpryski. I tak szlifuje się ostrze. Taki nóż jest dość nierówny, ale straszliwie ostry. Przez chwilę.

Nastąpiła krótka cisza, podczas której Rye próbował zrozumieć to, co właśnie usłyszał, i jakoś pogodzić z jej zwodniczą, delikatną urodą.

- Czy jesteś jedną z tych zwiariowanych studentek antropologii, które próbują żyć jak w epoce kamienia łupanego? - zapytał w końcu.

Cichy śmiech i rozbawione ametystowe oczy sprawiły, że po jego ciele przeszły ciarki.

- Ciepło - przyznała, wciąż się uśmiechając. - Moi rodzice są antropologami i badają codzienne życie ludów prymitywnych. Myśliwych, zbieraczy, nomadów - nazwij ich jak chcesz. Mama zbierała nasiona i rośliny w każdym miejscu, gdziekolwiek byliśmy, i wysyłała je do uniwersyteckiego banku nasion. Naukowcy, którzy pracują nad wyhodowaniem wysoko wydajnych i odpornych na choroby odmian zbóż dla trzeciego świata, będą używali ich do swoich eksperymentów. Dlatego właśnie jestem tutaj.

- Jesteś odporna na choroby i wysoko wydajna? - zażartował z kamienną twarzą.

W nagrodę usłyszał śmiech tak wdzięczny, że znów serce zabiło mu mocniej.

- Nie, ale jestem doświadczonym zbieraczem nasion, przyzwyczajonym do życia pod gołym niebem.

- Inaczej mówiąc, w sam raz nadajesz się do pracy na Łące McCalla?

Przytaknęła i potoczyła wzrokiem wokoło, po czystej, spokojnej łące i osikach drżących na tle głębokiego błękitu nieba.

- Spośród wszystkich miejsc na świecie, jakie widziałam, to jest najpiękniejsze - powiedziała cicho, zamykając na chwilę oczy, jak pod wpływem zmysłowej pieczyoty. - Świeże, czyste, doskonałe - wyszeptwała. - Czy masz pojęcie, jak rzadko spotyka się coś takiego?

Przez długą chwilę Rye patrzył, jak Lisa chłonie wszystkimi zmysłami słońce, zapach trawy i wiatr. Narastała w nim pewność, że tym razem się pomylił. Ona była właśnie taka jak łąka - świeża, czysta, doskonała i bardzo, bardzo wyjątkowa. Każda z poznanych przez niego kobiet była przerażona brakiem wszelkich wygod na rancho, gołymi drewnianymi deskami podłogi, stalowymi sztućcami i staroświecką kuchnią oraz tym, że Rye niedwuznacznie dawał do zrozumienia, iż zajmowanie się jego domem będzie należało raczej do żony niż do służących. To samo dotyczyło stajni. Jeżeli ktoś chce

pojeździć konno, może równie dobrze, do cholery, sprzątać boksy, czyścić siodła i uprząż i w ogóle zasłużyć na to, żeby móc dosiąść konia.

Każda z tamtych kobiet kazała mu iść do diabła, nie zdając sobie zresztą z tego sprawy, że jemu właśnie o to chodziło. Nie sądził, że Lisa też by tak postąpiła. Nie musiała obawiać się o swoje paznokcie, miała je krótko obcięte i równie czyste, jak kosmyki platynowoblond włosów, zwisających wokół lekko zaróżowionej twarzy. Wciąż miał przed oczami jej sylwetkę, wyciągającą się na czubkach palców w daremnym wysiłku, by jak najmocniej uderzyć siekierą i odrąbać porządny kawał drewna. Dużo czasu spędziła przy tej pracy, gdyż miała czerwone ślady na dłoniach. Widział je wyraźnie, kiedy nakładała mu na talerz parujący, pachnący ziołami chleb i chrupiący bekon.

- Po obiedzie narąbie ci drzewa - odezwał się nagle.

Myśl, że ona może nie mieć na czym ugotować sobie jedzenia, nie dawała mu spokoju.

Ręce Lisy, nakładające właśnie bekon na poobijany cynowy talerz, zatrzymały się na chwilę. Widać Rye wciąż uważał, że musi jakoś zapłacić za to jedzenie. Im dłużej przyglądała się jego ubraniu, tym bardziej wątpiła, że mógłby sobie na to pozwolić. I wcale zresztą tego nie chciała. Ale zdawała sobie sprawę, jak dumny potrafi być ubogi mężczyzna.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - Nie najlepiej radzę sobie z siekierą. Tam, gdzie mieszkaliśmy, nie było takich dużych kawałków drewna, żeby trzeba było je rąbać przed włożeniem do ognia.

Rye ugryzł kawałek chleba i aż przymknął oczy w zachwycie. Chleb był miękki, parujący, o egzotycznym aromacie - niczego takiego w swoim życiu nie próbował. Jedzenie zawsze smakowało mu lepiej w tym czystym, górskim powietrzu, ale to było coś wyjątkowego.

- To najlepszy chleb, jaki kiedykolwiek jadłem. Co do niego dodałaś?

- Tutaj przy strumieniu rośnie pewien gatunek dzikiej cebuli - powiedziała Lisa, siadając ze skrzyżowanymi nogami na ziemi. - Znalazłam też roślinę o rzadkim zapachu, podobnym do sago, i inną, coś w rodzaju pietruszki. Widziałam, jak skubały je jelenie, więc nie mogły być trujące. Dodałam po trochu wszystkiego. Chleb jest niezbędny do życia, ale dopiero przyprawy nadają smak jedzeniu.

- Może lepiej uważaj z tymi ziołami.

- Ależ ja nie wchodzę na ogrodzony teren.

- Nie to miałem na myśli. Niektóre rośliny mogłyby ci zaszkodzić.

- Ale wtedy jelenie by ich nie jadły - odpowiedziała rozsądnie. - Nie bój się, zanim tu przyjechałam, spędziłam trochę czasu w bibliotece na uniwersytecie. Wiem dokładnie, jak wyglądają tejsze rośliny, które mogą mieć działanie narkotyczne lub psychotropowe.

- Psychotropowe? Narkotyczne?

- Aha - skinęła głową, przełykając kęs bekonu.

- Na przykład mogą wywołać halucynacje, delirium czy nawet całkowite zatrzymanie oddechu. Nie dalej niż dziesięć metrów stąd rosną zioła, które mogą łagodzić objawy astmy, spowodować napad szału lub nawet śmierć, wszystko zależy od dawki. To bielun. Można go znaleźć pod każdą szerokością geograficzną. Rozpoznałam go od razu.

Rye popatrzył nagle na chleb, którym tak się do tej pory zjadał ..

- Nie musisz się obawiać - uspokoiła go szybko. - Nie dotykałabym nawet tamtej rośliny. Ma zbyt mocne działanie. Ja używam ziół jedynie jako przypraw i do łagodzenia takich dolegliwości jak ból głowy czy żołądka.

- I na to wszystko są gdzieś tutaj odpowiednie środki? - spytał, przyglądając się łące i lasowi, jakby pierwszy raz je widział.

- Prawie wszystkie dzisiejsze lekarstwa są sporządzone ze składników, które znała medycyna ludowa. Poza wysoko rozwiniętymi krajami, ludzie wciąż muszą polegać na ziołach i domowych sposobach. Zresztą to bardzo dobrze pomaga na drobne niedomagania i nie kosztuje prawie nic w porównaniu z lekarstwami produkowanymi w bogatych krajach. Oczywiście, kiedy tylko jest okazja, wszystkie plemiona, choćby nie wiem jak prymitywne, szczepią dzieci przeciwko chorobom zakaźnym, a całe rodziny przemierzają setki kilometrów po bezdrożach, żeby zawieźć ciężko chorego czy rannego człowieka do szpitala.

Rye delektował się delikatnie pachnącym chlebem, zadawał następne pytania i słuchał opowiadań Lisy o egzotycznych kulturach i przeróżnych osiągnięciach prymitywnych plemion w leczeniu chorób, hodowli zwierząt czy astronomii. Jeszcze zanim skończył jeść, zaczął mieć wątpliwości, czy słowo "prymitywne" jest odpowiednim określeniem. Ona wzrastała wśród ludzi, których nie można by nazwać inaczej niż dzikimi, prymitywnymi, z epoki kamiennej, ale jednak było w niej jakieś wyrafinowanie, które nie miało nic wspólnego z wytwornymi strojami, dobrymi szkołami czy innymi znamionami nowoczesnej cywilizacji. Lisa akceptowała różnorodność natury ludzkiej z tolerancją, poczuciem humoru, zrozumieniem i inteligencją.

Im dłużej jej się przyglądał, tym bardziej upewniał się, że łąty na jej spodniach nie są modnymi ozdobami, tylko koniecznością. A gromadzenie pustych opakowań nie wynikało z ekscentrycznego zachowania się czy ulegania ekologicznym trendom - rzeczywiście znajdowała zastosowanie dla wszystkiego. Siedziała z takim wdziękiem na ziemi nie dlatego, że uprawiała jogę lub gimnastykę, ale po prostu dlatego, że tam, gdzie się wychowała, nie było krzesel.

- Zdumiewające - szepnął do siebie.

- Też tak sądzę - powiedziała Lisa, krzywiąc się. - Ja sama nigdy nie miałam zamiaru tego próbować.

Smród sfermentowanego mleka klaczy jest nie do opisanego. Przypuszczam, że kiedy zamieszkaliśmy wśród Beduinów, byłam już na tyle duża, by mieć ugruntowane poczucie smaku.

Rye zdał sobie sprawę, że usłyszała, co powiedział i pomyślała, że to komentarz do opisywanego właśnie upodobania, jakie Beduini żywią do sfermentowanego kobyłego mleka, a nie do jego własnego odkrycia, jak ona sama diametralnie różni się od wszystkich innych kobiet.

- Ja tam wolę whisky - powiedział, nie chcąc sobie nawet wyobrazić, jak coś takiego musi smakować.

- A ja górskie powietrze i wodę ze strumienia.

Wiedział, że powiedziała to szczerze. On sam, mieszkający długo w gorącym, suchym klimacie Teksasu, rozumiał jej zachwyt tutejszą roślinnością i zimną, słodką wodą.

- Czas zapracować na to jedzenie - powiedział, wstając.

- Nie musisz tego robić.

- A jeżeli powiem, że lubię rąbać drzewo?

- A jeżeli powiem, że wcale ci nie wierzę?

- Wiesz, taka praca naprawdę przynosi satysfakcję, bo od razu widać, ile zostało zrobione. Bije na głowę przekładanie papierów czy przesiadywanie na konferencjach i naradach.

- Jeżeli o to chodzi, muszę ci uwierzyć na słowo - powiedziała, patrząc na niego z zaciekawieniem.

Poniewczasie zdał sobie sprawę, że taki prosty kowboj nie powinien nic wiedzieć o papierach czy konferencjach. Pochylił głowę i zaczął sprawdzać ostrze siekiery. Był prawie pewien, że Lisa nie ma najmniejszego pojęcia, kim on jest - chyba że jest najwyższej klasy aktorką. Wiedział jedno: kimkolwiek jest, nie może domyślić się, że jest tak bogaty. Nie chciał, żeby te oczy pełne bezinteresownego podziwu, rozbłysły kiedyś wyrachowaniem.

- Ta siekiera wygląda, jakby łupano nią kamienie - mruknął.

Podszedł do miejsca, gdzie stał przywiązany Devil, i zaczął czegoś szukać w jukach, które zawsze miał przytroczone do siodła. Po chwili wrócił z osekłą i zabrał się do ostrzenia siekiery. Patrzyła z podziwem na jego długie, mocne palce i wprawę, z jaką pracował nad przywróceniem ostrza do stanu używalności. Nagle podniósł oczy i zobaczył jej badawczy wzrok. Pomyślał, jakie by to było uczucie, gdyby zamiast zimnej stali dotykał jej jedwabistego gładkiego ciała i co ona wtedy by zrobiła. Zaraz krew w żyłach zaczęła mu krążyć szybciej. Wrócił do pracy, nie chcąc, by odgadła jego myśli.

- Teraz lepiej - powiedział w końcu, dotykając ostrza czubkiem palca. - Ale trzeba jeszcze dużo pracy, żeby móc się tym ogolić.

Podszedł do jednego z pni, podniósł z rozmachem siekiere i zatopił ostrze w drzewie. Nabrał dużej wprawy w rąbaniu tego lata, kiedy stawiał ogrodzenie, żeby bydło nie wchodziło na Łąkę McCalla. Łatwiej byłoby użyć drutu kolczastego, ale jemu odpowiadał widok zniszczonego przez deszcze drewnianego płotu wznoszącego się zygzakami ponad daleką, piękną łąką.

Lisa posprzątała po posiłku, usiadła na nagrzanym słońcem ziemi i obserwowała go, zafascynowana jego siłą i jednocześnie męskim wdziękiem. Odgłos uderzeń siekiery w ciszy późnego popołudnia brzmiał czysto, ostro i rytmicznie, a stos porąbanego drewna rósł z zadziwiająco szybkością. Nagle przetarty materiał napiętej na ramionach koszuli Rye'a nie wytrzymał i pękł. Lisa zerwała się na równe nogi i podbiegła do niego.

- Twoja koszula! - zawołała przestraszona.

Cały tył koszuli rozdarł się na dwie części, ale Rye kontynuował rąbanie, nie zwracając uwagi na to, co się stało. Lisa poczuła, że oddech uwiązł jej w gardle. Ciepło emanujące z jego błyszczącej, gładkiej jak satyna skóry było tak rzeczywiste, jak siła, która rozdarła koszulę. Patrzenie na niego powodowało, że rodziło się w niej dziwne uczucie, jakiego zaznała pierwszy raz w życiu i które sprawiało, że dostawała gorączkowych wypieków.

- Nic się nie stało - rzucił Rye.

- Ale przecież nie zniszczyłyś tej koszuli, gdybyś nie rąbał dla mnie drzewa.

- Jasne, że bym zniszczył. Ona jest prawie taka stara jak ja. Już dawno powinienem był jej się pozbyć.

- Pozbyć się? Masz na myśli: wyrzucić? Uśmiechnął się, gdyż powiedziała to w taki sposób, jakby wyrzucenie starej koszuli było czymś nie do pomyślenia.

- Nie, nie rób tego - protestowała Lisa, potrząsając stanowczo głową. - Pozwól mi, a ja ją naprawię.

- Będiesz to naprawiać? - spytał z niedowierzaniem, patrząc na postrzępione mankiety. Ta koszula nie była warta nawet nici potrzebnej do jej szycia, nie. mówiąc już. o czasie.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Naprawdę nie ma potrzeby kupowania nowej.

Rye wbił siekierę w pień do rąbania i odwrócił się do Lisy. Wyglądała równie żałośnie, jak żałośnie brzmiał przed chwilą jej głos, gdy biadała nad zniszczoną koszulą.

- Proszę - dodała cicho, kładąc mu rękę na ramieniu.

- Dobrze - odparł, delikatnie dotykając jej policzka czubkami palców. - To nie twoja wina.

Lisa nie potrafiła stłumić dreszczu, który przebiegł jej ciało pod wpływem tego dotknięcia. Rye dostrzegł to i oblała go fala gorąca. Popatrzył na jej palce, zaciskające się coraz mocniej na jego ramieniu, na rozszerzone nagle źrenice, i widział, że budzi się w niej pożądanie. Uważała go za zbyt biednego, by mógł przeboleć stratę znoszonej koszuli, a mimo to drżała bezsilnie, kiedy jej dotykał. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie pragnął tak jakiegokolwiek kobiety, jak teraz tej, która stała tuż przy nim, patrzyła tymi wielkimi, ametystowymi oczami i przygryzała wargi, próbując powstrzymać ich drżenie.

- Liso - wyszeptał, ale nie potrafił znaleźć słów, które powiedziałyby jej, że żar w jego ciele zamienia się w trawiący wszystko płomień.

Ujął twardą dłoń jej podbródek i pochylił głowę.

Potrzebował całej siły woli, by zaledwie musnąć jej usta swoimi. Zesztywniała pod wpływem tego dotknięcia i zaraz znów zadrżała gwałtownie. Rye zmusił się, by wypuścić ją z objęć, chociaż jedyną rzeczą, jakiej pragnął, było przykryć ją swoim ciałem niby gorącym, gwałtownym deszczem, czuć, jak ona drży pod wpływem pieszczot ...

Popatrzył w jej oczy. Były rozszerzone zaskoczeniem, ciekawością, a może i pożądaniem. Nie wiedział tego. Nie odpowiedziała na jego pocałunek, nie otoczyła go ramionami. Może zaczęła się go obawiać. Była jeszcze niemal dziewczynką i znajdowała się sam na sam na odludziu z mężczyzną o tyle od niej silniejszym, z mężczyzną, który pragnął jej tak bardzo, że ledwie mógł się powstrzymać. Wstrząsnęła nim ta świadomość.

- Nie bój się, maleńka - powiedział zachrypniętym głosem. - Nie zrobię ci krzywdy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Widok ufnego, nieśmiałego uśmiechu Lisy nie opuszczał Rye'a podczas drogi powrotnej. Miał zamiar nauczyć ją, jak się używa siekiery, ale nie odważył się tego zrobić. Nie ufał sobie na tyle, by tak bardzo zbliżyć się do niej. Męczyło go pragnienie, by wziąć od niej więcej niż ten pojedynczy, przelotny pocałunek, ale nie pozwolił sobie nawet na dotknięcie czubkiem palca jej delikatnych warg. Wdychanie zapachu rozgrzanych słońcem włosów, patrzenie na leciutkie drżenie warg, oddychanie tym samym powietrzem co ona ... To było wszystko, co mógł zrobić, bo inaczej rozplótłby lśniące warkocze, a potem zanurzył dłonie w jej włosach i razem z nią pograżyłby się w otchłani rozkoszy.

Wydawało się niemożliwe, by w dzisiejszych czasach dziewczyna w jej wieku była tak niewinna, ale ona przecież zachowała się tak, jakby nikt nigdy jej jeszcze nie całował i jakby nie wiedziała, jak odwzajemnić tę pieszczotę. To nim wstrząsnęło, a jednocześnie zaciekało go i podnieciło. Wszystkie znane mu wcześniej kobiety były doświadczone, wyrafinowane i wiedziały, czego chcą. Czasami brał to, co tak chętnie proponowały. Częściej jednak przechodził obok nich obojętnie, zde gustowany tym, że w ich oczach widzi żądzę bogactwa, a nie prawdziwe pożądanie.

Bardziej niż delikatna uroda Lisy i jej niezwykle zachowanie zniewalała go jej czysta zmysłowość. Nie wiedziała, że jest tak bogaty. Patrzyła na niego i widziała tylko mężczyznę.

I pragnęła tego mężczyzny.

Jednak kiedy już dotarł na rancho, postanowił, że musi jakoś to wszystko sprawdzić. Nie ufał własnemu osądowi, gdyż za bardzo Lisy pożądał. Za bardzo chciał uwierzyć, że ona jest właśnie taka, na jaką wygląda - jeszcze nie rozbudzona, ale czująca pożądanie, ilekroć na niego spojrzeła.

Zdjął podartą koszulę i zwinął ją w kłębek, żeby wyrzucić do kosza na śmieci, ale zawahał się. Przecież w końcu przyrzekł Lisie, że pozwoli jej spróbować ją zreperować. Była tak zmartwiona tym, co się stało, że o mało nie powiedział jej, że mógłby sobie w każdej chwili kupić wszystkie koszule, na jakie miałby ochotę. Ale wtedy pomyślał o jej szczupłych dłoniach, które będą dotykały tej koszuli, każdej jej fałdki i szwu, zostawią tam coś z niej samej, a potem mu to zwrócą - i dlatego zmienił

zdanie.

Rye zignorował czekającą na niego księgę rachunkową, minął komputer i podszedł do telefonu. Wykręcił numer, czekał chwilę i usłyszał po czwartym dzwonku głos profesora Thompsona.

- Ted? Tu Rye McCall. Chciałbym porozmawiać z tobą o tej studentce, którą przysłałeś do pilnowania łaki.

- Mówisz o Lisie Johansen? Ona nie jest studentką, w każdym razie oficjalnie. Jest wolną słuchaczką na naszym wydziale antropologii. Ale mogę się założyć, że jak tylko poznamy wyniki testów, to studia będzie już miała za sobą. Oczywiście, jak się ma takich rodziców, to nic dziwnego. Johansenowie są światowej sławy ekspertami w dziedzinie ...

- Wolna słuchaczka? - przerwał mu Rye, wiedząc, że gdy pozwoli, żeby rozmowa zeszła na temat antropologii, długo potrwa, zanim będzie mógł powrócić do sprawy Lisy. Profesor był znanym naukowcem i dobrym przyjacielem, ale czasami potrafił zanudzić na śmierć.

- Tak. Zdaje tylko końcowe egzaminy z niektórych przedmiotów. Kiedy się ma kogoś z tak nietypowym wykształceniem, to jedyny sposób, żeby sprawdzić jej osiągnięcia na uczelni. Czy wiesz, że ta biedna dziewczyna nigdy nie była w prawdziwej szkole?

Rye tego nie wiedział, ale nie powiedział nic poza chrząknięciem, mającym zachęcić rozmówcę do kontynuowania tematu. Teraz nie pozostało mu nic do zrobienia, tylko rozsiąść się wygodnie w fotelu i pozwolić mówić profesorowi.

- O tak, to prawda - ciągnął profesor Thompson. - Ona zna kilka egzotycznych języków, potrafi ugotować na ognisku wspaniałą potrawkę z jakichś przedziwnych składników i jak wyczaruje coś przy pomocy samych rąk, to moim studentom oczy wylażą na wierzch. Poczekaj tylko, a zobaczysz, jak sporządzi ostry jak brzytwa nóż z potłuczonej butelki od piwa.

Rye znów coś zamruczał, ale i tak utonęło to w powodzi słów profesora.

- Ale to wspaniałe dziecko. Jakie oczy. Mój Boże, nie widziałem takich drugich od czasu, kiedy jej matka była moją najlepszą studentką wiele lat temu. Lisa jest bardzo do niej podobna. Świetny umysł i zdrowie, ale nie ma dość pieniędzy, żeby zadzwonić z automatu - ani też pewnie nie wiedziałaby, jak się to robi. To znaczy Lisa, nie jej matka. Biedne dziecko, kiedy tu przyjechała, nie mogła sobie dać rady ze spuszczeniem wody w toalecie. A o urządzeniach kuchennych lepiej nie wspominać. Moja elektryczna kuchenka wprawiała ją w zdenerwowanie i aż podskakiwała na odgłos zmywarki do naczyń. Jeśli mam być szczery, to mnie trochę denerwowało. Teraz wiem, jak czują się tubylcy, kiedy moi pilni studenci chodzą za nimi i bez przerwy obserwują ich zachowanie i zwyczaje. Ale ona uczy się błyskawicznie. To bardzo bystra dziewczyna. Naprawdę bardzo bystra. Jednak uważam, że rodzice stanowczo zbyt długo zwlekali z przysłaniem jej tutaj.

- Dlaczego?

- Chodzi o poczucie czasu. Wczoraj, dziś, jutro.

- Nie rozumiem.

- Lisa też nie. - Profesor westchnął ciężko. - Ludzie cywilizowani dzielą czas na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Wiele plemion nie ma tego poczucia. Dla nich istnieją tylko dwie odmiany czasu - jakiś nieokreślony czas "przedtem" i ogromne, nieodróżniane "dzisiaj". Lisa żyje właśnie w czymś takim, w nie kończącej się teraźniejszości. Ona w takim samym stopniu rozumie, co to jest godzina czy też tydzień, jak ja styl życia Żulusów. A jeśli chodzi o maszyny do pisania, segregatory, komputery i tego typu rzeczy ... nie ma nawet o czym mówić. Jedyne odpowiednie dla niej zajęcie, jakie mogłem naprędce znaleźć, to obserwowanie traw na twojej łące, zanim na jesieni zaczną się rok akademicki. Wtedy będzie mogła utrzymać się ze stypendium, a po świętach Geoffrey wróci z Alice.

- Geoffrey? Alice?

- To mój najlepszy student od czasu matki Lisy.

Alice Springs leży w australijskim interiorze. Geoffrey prowadzi tam badania do swojej pracy doktorskiej nad kulturą aborygenów, ze szczególnym uwzględnieniem ...

- Czy Lisa zna tego Geoffreya? - przerwał niecierpliwie Rye, czując irracjonalne ukłucie zazdrości. - Jeszcze nie, ale pozna i wyjdzie za niego.

- Co takiego?

- Lisa wyjdzie za mąż za Geoffreya. Nie słuchasz tego, co mówię? Rodzice przysłali ją do mnie, żebym spróbował znaleźć dla niej odpowiedniego męża. I znalazłem. Geoffreya Langdona. Umiejętności Lisy wspaniale korespondują z jego zawodowymi potrzebami. Ona potrafi zajmować się obozem, kiedy on będzie pracował w terenie. I kto wie? Jeżeli będzie tak zdolna jak jej matka, może pomagać mu także w badaniach.

- A co Geoffrey o tym myśli?

- Jeszcze z nim nie rozmawiałem, ale nie mogę sobie wyobrazić, żeby podszedł do tego inaczej niż z entuzjazmem. Ona jest śliczna, a jej rodzice są bardzo, ale to bardzo szanowani w świecie naukowym.

Dla młodych asystentów to ma wielkie znaczenie. Mógłby wtedy nawet pracować z nimi wspólnie albo też napisać razem jedną czy dwie prace. To byłaby olbrzymia pomoc w jego karierze naukowej.

- A co będzie, jeśli Lisa nie zakocha się w nim?

- Nie zakocha się? Racja, przecież ty jesteś dzieckiem kultury Zachodu. Miłość nie ma tu nic do rzeczy. Lisa będzie miała w tym małżeństwie to, co dla kobiet jest najważniejsze - zabezpieczenie na całe życie, schronienie i opiekę. W przypadku Lisy to znaczy więcej niż miłość. Ona po prostu nie jest przygotowana na to, żeby zmagać się z nowoczesnym światem. Dlatego przysłali ją do mnie, kiedy przyszła pora, żeby wyszła za męża.

- Więc przyjechała tu, żeby znaleźć męża? - spytał szorstko Rye.

- Oczywiście. Przecież nie mogłaby wyjść za beduińskiego pasterza, prawda?

Nastąpiła chwila ciszy, którą natychmiast przerwał profesor Thompson swoimi opowieściami o codziennym życiu beduińskich kobiet. Rye prawie go nie słuchał. Znowu zdarzyło się to, czego najbardziej się obawiał - Lisa była jeszcze jedną kobietą, dla której najbardziej liczyło się życiowe zabezpieczenie. Niewinność nie miała tu nic do rzeczy. To była gra prowadzona między męskim pożądaniem i kobiecym wyrachowaniem, stara jak świat, znana od czasów Adama i Ewy. A on niemal dał się na to nabrać.

Po skończonej rozmowie Rye z wściekłością wziął prysznic i przebrał się, nie wiedząc, czy jest bardziej zły na Lisę za to, że jest w taki niewinny, zachwycający sposób fałszywa, czy na siebie, że o mało nie wpadł w jej ręce, jakby miał nie więcej rozumu niż zgniłe jabłko.

Jednak mimo że był bardzo wściekły na siebie i Lisę, pamięć jej drżących ust prześladowała go przez cały czas. Kiedy wreszcie udało mu się zasnąć, śnił o aksamitnym cieple, które ogarniało go, pieściło, podniecało, tak że w końcu obudził się z powstrzymywanym krzykiem. Ciało miał złane potem, twarde i ciężkie od pożądania tak wielkiego, że mawało się być nie do wytrzymania.

Rano nie było lepiej. Klnąc, poszedł do łazienki, ale po kwadransie doszedł do wniosku, że zimny prysznic jest przecenianym środkiem na stłumienie żądz. Zjadł zimne śniadanie, gdyż wiedział, że zapach grzanek przywoła pamięć tamtego chleba i Lisy, patrzącej na niego, podającej mu jedzenie lekko drżącymi rękami. Trzasnął drzwiami i poszedł do stajni, pragnąc, żeby można było równie łatwo zatrzaskać za sobą wieko pamięci.

- Dzień dobry, szefie. Devil wygląda, jakby znów miał ochotę na przejażdżkę.

- Witaj, Lassiter. Zrobiliśmy wczoraj małą rundkę na łąkę i z powrotem. A ty wyglądasz na wykończono-go. Trudna jazda?

Kowboj uśmiechnął się szeroko, uniósł kapelusz i znów włożył go na przedwcześnie posiwiałe włosy.

- Chciałem właśnie panu podziękować. Cherry powiedziała, że to pan polecił mnie, żeby ją podwieźć. Ta mała była świetna. Naprawdę pierwsza klasa.

- Może jeszcze miała stempel kontroli weterynaryjnej na biodrze - powiedział Rye drwiąco.

- Szefie, niech pan się tak tym nie przejmuje. Ale jeśli dziewczyna z takim wyglądem jest gotowa i chętna, to mężczyzna nie może nie wyjść jej naprzeciw.

- Właśnie po to cię tutaj trzymam. Masz najszybszy zamek błyskawiczny na całym Zachodzie.

Roześmieli się i zawtórowali im kowboje wynoszący właśnie siodła ze stajni. Wszyscy wiedzieli o legendarnym wprost powodzeniu Lassitera, który każdą kobietę mógł zaciągnąć do łóżka. Nie wiadomo, czy sprawiała to ta jego siwa czupryna, czy uwodzicielski uśmiech albo zręczne ręce, ale cokolwiek to było, działało na kobiety jak magnes.

- Jak wygląda łąka? - spytał niewinnie Lassiter.

- Lepiej niż moja jadalnia.

- Tak, Cherry coś o tym wspominała. Czy ona naprawdę szperała w szufladach?

- Jak hiena. Czy nie wydlubała ci plomb z zębów?

- Oddałbym wszystkie. Jadł pan tam obiad?

- W jadalni?

- Na łące.

Rye musiał się poddać. Lassiter i tak krążyłby wokół tego tematu, aż dowiedziałby się, jak Rye zareagował na to, że jego prywatne terytorium zostało naruszone przez jeszcze jedną kobietę. Jeśli istniało coś, co kowboje przedkładali nad żarty, to Rye nie miał pojęcia, co to by mogło być;

- Przynajmniej umie gotować - powiedział wykrętnie.

- No i jest przyjemna dla oka. Chociaż trochę za chuda.

Już miał zacząć zaprzeczać, ale pochwycił błysk w oku Lassitera i roześmiał się, potrząsając głową.

- Powiniennem wypalić ci piętno za to, że nie ostrzegłeś mnie, że jest tu Cherry i Lisa.

- Jak pan znajduje klaczkę, która weźmie mnie na powróż, to wtedy może pan stawiać mi piętna, gdzie się panu żywnie podoba.

- Chyba już znalazłem.

- Tak?

- Tak. Jeździłeś na łąkę tak często, że na drodze porobiły się dziury od kopyt twojego konia.

- O nie. - Lassiter potrząsnął głową. - Panna Lisa jest zbyt cnotliwa dla takich jak ja.

- A przy okazji - zawołał Jim od strony zagrody - ona nie dałaby mu nic więcej niż ten uśmiech, którym wita każdego. I chleb z bekonem, który skusiłby świętego. Boziu, cóż za jedzenie ona potrafi ugotować na ognisku.

Rye'owi ulżyło, gdy usłyszał, że Lisa zareagowała w taki sposób jedynie na jego widok. Chociaż nie zmniejszyło to jego złości na samego siebie, że o mało nie dał się złapać.

- Cnotliwa? Możliwe, ale jej chodzi o to samo co Cherry: pierścionek zaręczynowy i zabezpieczoną przyszłość. Jedyna różnica, że Lisa nie wie, kim jestem.

- Nie przedstawił się pan? - spytał zaskoczony Lassiter.

- Oczywiście. Ale po prostu jako Rye.

Lassiter od razu ujrzał, jakie możliwości daje ta sytuacja, i zaczął się śmiać. Rye też się uśmiechnął.

- Ona myśli, że pan jest jeszcze jednym pracownikiem? - spytał Jim, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego.

- Tak.

- I naprawdę szuka męża? - zachichotał Jim.

- Tak.

- I nie wie, kim pan jest naprawdę?

- Właśnie.

- Nie mogę w to uwierzyć. Ona nie jest taka.

- Zapytaj profesora Thompsona, kiedy tu przyjedzie następnym razem - powiedział Rye dobitnie.

- No dobrze, ale tak czy owak, nie zaczynała z żadnym z nas. Nie można jej potępiać, że nie poleciała na starego Lassitera, ale na Blaine'a też nie spojrzała po raz drugi. Blaine, było tak? - zawołał Jim.

- Dokładnie - odpowiedział wysoki, smukły młodzieniec, który stał opodal, paląc papierosa. - A przecież Bóg wie i każdy ślepy widzi, że jestem przystojniejszy od Lassitera.

Rozległy się gwizdy i porykiwania, kiedy kowboje zaczęli porównywać siłę i fizyczne przymioty Blaine'a i Lassitera. Rye wyczekał, aż śmiech na chwilę ucichł, by wprowadzić w życie decyzję, jaką podjął nad ranem, kiedy leżał, nie mogąc spać i płonąć z pożądania.

- Wiecie, już mam dość tego polowania na mnie i osaczania mnie nawet we własnym domu - powiedział stanowczo.

Wśród pracowników rozległ się szmer aprobaty. Dom mężczyzny jest jego twierdzą - a przynajmniej powinien być.

- Lisa nie wie, kim jestem, i chcę, żeby tak zostało. Tak długo, jak będzie myślała, że jestem tylko jednym z was, będzie traktowała mnie tak samo. O to właśnie mi chodzi. Inaczej nie będę mógł spędzić spokojnej chwili na łące.

Znów rozległ się szmer zrozumienia. Wszyscy wiedzieli, że Boss Mac uwielbia spędzać czas na swojej łące. Wiedzieli również, że to łagodziło jego złe nastroje, kiedy bywał bardziej niebezpieczny od głodnego niedźwiedzia.

- Dalej. Wiem, że jeśli zjawię się na łące z którymś z was, to na pewno nie powstrzyma się i nazwie mnie Bossem :Makiem. Dlatego zawsze będę jeździł tam sam. Zrozumiano?

Mężczyźni zaczęli się uśmiechać na myśl o tak przewrotnym żarcie. Tam na górze jest Lisa polująca na faceta nadającego się na męża, a najbardziej pożądany kandydat w zasięgu pięciu stanów będzie sobie jeździł tam i z powrotem i nie spocznie na nim cień podejrzenia.

- I chcę, żebyście przestali tam jeździć.

Uśmiechy zniknęły. Żart to jedna sprawa, a zostawienie dziewczyny zupełnie samej w takiej głuszy, to druga. Nie ma znaczenia, że świetnie gotowała na ognisku, nieważne, jaką grę toczyła - nie była tak silna jak mężczyzna. Mogli kpić z niej niemiłosiernie, stroić sobie tysiące żartów, ale nie pozwoliliby, żeby naprawdę stała się jej krzywda. Wszyscy spojrzeli na Lassitera, który był kimś w rodzaju ich nieoficjalnego rzecznika.

- Jest pan pewien, że to rozsądne, szefie? - spytał spokojnie Lassiter. - To przecież zupełne odludzie. Co będzie, jak ona skręci nogę albo zrani się przy rąbaniu drzewa, albo zachoruje i będzie zbyt słaba, żeby przynieść sobie wody ze strumienia?

Na szczęście dopiero świtało i nikt nie zauważył, jak nagle pobladła twarz Rye'a.

- Masz rację - powiedział natychmiast. - Powinienem być o tym pomyśleć. Możecie tam zaglądać, ale nie tak często jak przedtem, bo inaczej nic tu nie będzie zrobione, a ja zrezygnuję z przejażdżek. - Przerwał i popatrzył chłodno na wszystkich po kolei. - Ale jeśli którykolwiek jej dotknie, to może

szukać sobie nowej pracy, jak tylko się wylize z ran. Zrozumiano?

Uśmiechy omacały, że wszyscy' zrozumieli doskonale i pochwalali to rozporządzenie.

- Jasne, szefie - odezwał się Lassiter. - I dziękujemy za pozwolenie odwiedzania panny Lisy. Ona piecze najlepszy chleb, jakiego w życiu próbowałem. A może by zajęła się kuchnią na rancho, kiedy już przestanie pilnować tamtej trawy?

- Nie sądzę. Do tego czasu ona zrezygnuje ze mnie i wyruszy na kolejne łowy.

Potem Rye stał przez chwilę nieruchomo w jaśniejącym świetle poranka i zastanawiał się, dlaczego myśl o odjeżdżającej Lisie przynosi mu niepokój zamiast ulgi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lisa weszła na teren ogrodzonej łąki z polaroidem w rękę. Podeszła do najbliższego słupka, na którym widniała tabliczka z numerem pięć, przykłęka i spojrzała w wizjer. Srebro-zielona trawa obok słupka była cienka i delikatna, wyglądała krucho, ale w ciągu ostatniego tygodnia urosła kilka centymetrów.

- Bardzo dobrze, piątka -mruknęła. - Trzymaj tak dalej, a znajdziesz się u profesora na samym początku listy najlepszych traw. Wydasz mnóstwo dzieci i będziesz rozmnażać się na pastwiskach całego świata.

Wstrzymała oddech, zwolniła przycisk migawki i rozległ się zaskakująco głośny "klik" i zgrzyt pracującego aparatu. Z dołu urządzenia zaczął wysuwać się czarny kwadrat. Wsunęła zdjęcie do kieszeni koszuli, żeby osłonić je przed słońcem i pozwolić tym niezrozumiałym dla niej procesom chemicznym zachodzić w spokoju. Teraz już nie obserwowała zafascynowana, tak jak na początku, kiedy z niczego nagle zaczynało coś się wylaniać i zapełniało ten dziwny papier. Niemniej nie potrafiła traktować tego jako rzeczy zupełnie normalnej. Na świecie było wiele miejsc, gdzie ten aparat i jego zdolność do wyrzucania z siebie gotowych obrazków wzięta byłaby za magię, a ona właśnie w takich miejscach się wychowała i czuła się trochę czarodziejką za każdym razem, kiedy podnosiła aparat do oka i otrzymywała dokładne~ wielkości dłoni odbicie otaczającego ją świata. Jakież to było ułatwienie w porównaniu z mozolnym szkicowaniem roślin ołówkiem na papierze, co musiała robić jej matka.

Szła przez łąkę i fotografowała każdy słupek oznaczony numerem, zmieniając kilka razy film. Kowboje Bossa Maca dostarczali jej nowe filmy - gdyby nie to, byłaby zmuszona co tydzień jeździć "na dół", do miasta. A ona wolała zostać na łące, gdzie czas nie miał nic wspólnego z zegarami.

Pory roku rozumiała bardzo dobrze. Był okres kiełkowania i okres wzrostu, okres żniw i okres nagich pól. Było to naturalne jak wschody i zachody słońca, jak przybywanie i ubywanie księżyca. Tydzień zaś to coś utworzonego sztucznie. Przypuszczała, że przez resztę życia będzie uważała go za okres, w którym zużywała pięć opakowań filmu do polaroidu na Łące McCalla.

Co jakiś czas przystawała na chwilę, stawała na czubkach palców i spoglądała ponad krzakami w stronę tylnego wejścia do chaty. Rye nadejdzie z tamtej strony, kiedy zechce ją odwiedzić. Jeżeli zechce. Od czasu ich pierwszego spotkania przyjeżdżał tu dwa razy na tydzień, ale prawie z nią nie rozmawiał. Kiedyś poszła śladami jego konia aż do ścieżki wijącej się zygzakami po zboczu góry. Nikt nie przyjeżdżał tędy, nawet nie było tam innych śladów oprócz odcisków kopyt tego wielkiego konia Rye'a. Najwyraźniej tylko on odkrył drogę - albo tylko on miał odwagę nią jeździć.

Czy dzisiaj przyjedzie? Poczowała przypływ tego samego niepokoju, który pojawiał się w jej snach od dnia, kiedy go poznała. Odwiedziny innych pracowników Bossa Maca sprawiały jej przyjemność, ale wizyty Rye'a to coś innego, nie można było tego tak określić. Wciąż przywoływała w pamięci ten jedyne raz, kiedy parę tygodni temu ją pocałował - to muśnięcie warg, ciepło oddechu, żar promieniujący z jego ciała. Była wtedy tak wstrząśnięta wróżeniem, jakie wywołał w niej pierwszy pocałunek mężczyzny, że mogła tylko stać bez ruchu. Kiedy w końcu zdała sobie sprawę, z tego, co zaszło, on już się cofnął. Zaczął znów rąbać drzewo, jakby nic się nie stało, zostawiając ją w niepewności, czy dla niego było to choćby w połowie takim przeżyciem jak dla niej.

- Oczywiście, że nie - szepnęła do siebie, zmieniając film w aparacie, a potem kierując obiektyw na następny słupek. - Przecież w takim wypadku pocałowałby mnie jeszcze raz. A w ogóle całowanie nie jest tu niczym niecodziennym. Na przykład studenci profesora Thompsona. Połowa z nich spóźnia

się na zajęcia, bo całuje się ze swoimi sympatiami na korytarzu. A inni nawet przychodzą parami na zajęcia - och, a niech to, zepsułam jeszcze jedno zdjęcie!

Zła na siebie, wsadziła spartaczoną fotografię do tylnej kieszeni, nie sprawdziwszy nawet, jak bardzo jest nieostre. Musi przestać myśleć o Rye'u, o pocałunkach i takich rzeczach. Przez takie myśli jej ciało drży z podniecenia i zniszczyła już dzisiaj trzecie zdjęcie. Jak tak dalej pójdzie, będzie potrzebowała nowej dostawy filmów przed końcem tego tygodnia.

A może Rye mógłby je przywieźć?

Rozgniewana na swoje nieposłuszne myśli podeszła do następnego słupka i spostrzegła Rye'a idącego przez łękę w jej kierunku. Od pierwszej chwili wiedziała, że to on, chociaż był za daleko, żeby mogła rozpoznać rysy twarzy, ale nikt inny nie poruszał się z takim wdziękiem ani nie miał tak szerokich ramion i wąskich bioder. I nikt, pomyślała, kiedy podszedł bliżej, nie patrzył na nią w taki sposób - z ciekawością połączoną z pożądaniem. A także z obawą.

Obawa pojawiła się w jego wzroku przy drugim spotkaniu i nie znikła od tego czasu. Zauważyła to natychmiast i zastanawiała się, co było tego przyczyną. N a pewno Rye nie patrzył na nią takim wzrokiem za pierwszym razem, nie usłoby to jej uwagi. Poczula się nagle zakłopotana. Zastanawiała się, czy nie powinna wyciągnąć do niego ręki, żeby przywitać go szybkim, mocnym uściskiem dłoni, jak nauczyła się tutaj, w Ameryce.

- Dzień dobry, Rye - odezwała się, a głos załamała jej się lekko pod wpływem badawczego wzroku gościa. - Dzień dobry.

Lisa stała i nie zdając sobie sprawy po prosiu wpatrywała się w jego twarz. Uwielbiała ten pojedynczy kosmyk ciemnych, lśniących włosów, który zawsze wysuwał się na czoło spod kapelusza. Długie, gęste rzęsy były czymś niemal zaskakującym na tle wyrazistych, męskich rysów. Oczy miał bardz() jasne, błyszczące przejrzystą szarością, z maleńkimi błękitnymi punkcikami i otoczone ciemną obwódką. Nie był ogolony i cień ciemnego zarostu nadawał twarzy ciekawy wyraz, a przez kontrast oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze. Szerokie usta z wyraźnie wykrojoną górną wargą i pełną dolną przypominały o tamtej chwili, kiedy dotknęły jej w pocałunku. Ta pieszczota była nieoczekiwana, jednocześnie silna i miękka, a wargi miały sprężystość, której chciałyby ponownie doświadczyć.

- Czy mam prosty nos? - spytał kpiąco.

Poczula, że się rumieni. Takie gapienie się było nie do przyjęcia na całym świecie, nieZależnie od kultury. Nic dziwnego, że czegoś się obawiał. W jego obecności nie zachowywała normalnie.

- Tak naprawdę jest krzywy - zażartowała. - Trochę haczykowaty.

- To się stało, kiedy zrzucił mnie pierwszy nie ujeżdżony koń, jakiego dosiadłem. Złamał mi nos, dwa żebra i moją dumę.

- I co zrobiłeś?

- Oddychałem przez usta i uczyłem się jeździć. Nie poszło mi źle, jak na chłopaka z miasta.

- Wychowałeś się w mieście? - Lisa nie potrafiła ukryć zdziwienia.

Zaczął w duchu przeklinać swój długi język, ale przypomniał sobie, że wielu kowbojów pierwsze kroki stawiało na brukowanych ulicach. Człowiek nie ma wpływu na to, że rodzice wybierają życie w takich nieciekawych miejscach.

- Mieszkałem w mieście przez piętnaście lat. Potem umarła moja matka, a ojciec ożenił się po raz drugi i zamieszkaliśmy na rancho.

Miała zamiar zapytać, gdzie jest teraz jego ojciec, ale zawahała się. Usiłowała przypomnieć sobie, czy w Ameryce nie będzie niegrzecznością pytanie o rodzinę, ale na szczęście Rye zaczął mówić coś o łące. Rozpraszał ją blask jego szarych oczu, zapomniała, o co chciała spytać. Przywykła do ludzi o ciemnych oczach, a jego były fascynująco jasne. Nie tylko miały błękitne punkciki, ale w pełnym słońcu widać w nich było również zielone błyski.

Rye poczuł ciepło rozchodzące się po całym ciele tak namacalnie, jak czuł promienie słońca i lekkie podmuchy wiatru. Nigdy bardziej nie kusiło go, żeby dotknąć jej ust swoimi. Miała wargi rozchylone i błyszczące, gdyż właśnie dotknęła ich językiem. W wyobraźni już czuł miękkość jej ciała, jej oddech przy swoich ustach, gorący język dotykający jego ...

Widziała, z jaką intensywnością on wpatruje się w jej usta i poczuła się jednocześnie bardzo osłabiona i zadziwiająco pełna życia. Dziwne ciarki przechodziły jej po skórze. Zastanawiała się, o czym Rye myśli, czego pragnie i czy pamięta tę jedyną, ulotną chwilę, kiedy ich usta się spotkały.

- Rye?

- Jestem tutaj - odparł głębokim, matowym głosem.

- Czy to będzie bardzo niegrzeczne, jeżeli zapytam cię, o czym myślisz?

- Nie, ale odpowiedź może za bardzo cię zaszokować.

- Och! - M usiała przełknąć ślinę.

- A może zamiast tego ja zapytam, o czym myślisz?

- Ja ... Nie ... To znaczy ... - zaczęła skonsternowana, usiłując nie patrzeć, jak Rye się uśmiecha. - Nie myślałam o niczym szczególnym. Zastanawiałam się tylko trochę.

- Nad czym się trochę zastanawiałaś?

Wzięła głęboki oddech, jakby miała rzucić się głową naprzód w głęboką wodę.

- Jak to jest, że twoje usta wyglądają na takie twarde, a w dotyku są miękkie jak aksamit?

Serce w jego piersi zaczęło uderzać gwałtownie, a krew w żyłach stała się płynnym ogniem. Przecież właśnie dlatego trzymał się z dala od niej po tamtym przelotnym pocałunku.

- Naprawdę są jak aksamit? - spytał cicho.

- Tak - wyszeptała w odpowiedzi i poczuła, że jego wargi dotykają lekko jej ust.

- Jesteś pewna?

- Uhm.

- Czy to znaczyło "tak"? - Znów musnął jej usta swoimi. - A może "nie"?

Lisa stała całkowicie nieruchomo, obawiając się poruszyć i w ten sposób przerwać tę chwilę.

- Tak - powiedziała z lekkim westchnieniem.

Rye musiał zacisnąć pięści, żeby opanować się i nie porwać jej w ramiona. Powstrzymywała go ostrożność - nie miał wątpliwości, że chciała tego pocałunku, ale przecież nie zrobiła nic, żeby też go pocałować. Płonął w nim żar pożądania, a ona tylko tak stała i patrzyła, z kocią ciekawością w ametystowych oczach.

- N o, tę sprawę mamy załatwioną. A jak tam idzie na łące? - spytał cofając się o krok i starając się mówić normalnym głosem.

Lisa przełękła się. Nie wiedziała, dlaczego przestał ją całować. Czy może zrobiła coś, czego nie powinna była robić? Kiedy chciała go o to zapytać, słowa uwięzły jej w gardle. Rye spoglądał na łąkę, jakby nic między nimi nie zaszło, a nawet jakby Lisy tutaj w ogóle nie było.

- Na łące? - powtórzyła zmieszana.

- Tak. No wiesz, to takie miejsce, gdzie rośnie trawa i nie ma drzew.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Ręce trzęsły jej się jak liście osiki. A on patrzył teraz na nią z wyraźnym rozbawieniem w tych niesamowitych oczach. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że może zakpił z niej, bo chciał, żeby się zaczerwieniła. Kowboje lubią sobie stroić żarty z nowicjuszy, a przecież jeśli chodzi o pocałunki, to ona zupełnie nie ma w tej dziedzinie doświadczenia. Gdyby to był żart, zrozumiałe byłoby, że w chwili kiedy jej serce bije jak szalone, a ciało rozplywa się jak miód na słońcu, on spokojnie rozgląda się po łące, jakby tylko po to tu przyszedł. Tak, on musiał sobie z niej zażartować, a ją jakoś opuściło poczucie humoru i dała się sprowokować. Na szczęście mogła uchwycić się neutralnego tematu.

- Niektóre gatunki traw rosną po kilkanaście cen tymetrów w ciągu tygodnia - powiedziała szybko. - Zwłaszcza numer piąty ma dobre wyniki. Wczoraj porównałam to z notatkami z ubiegłego roku i okazuje się, że teraz jest więcej łodyżek, a każda z nich wyrosła wyżej. Wiem, że tego roku wiosna przyszła późno, a więc może ta roślina rośnie lepiej w chłodnym i wilgotnym klimacie. Jeżeli tak jest, profesor Thompson bardzo się ucieszy. On uważa, że zbyt wiele nadziei do tej pory pokładano w trawach pustynnych, a nie prowadzono wystarczających badań nad roślinnością syberyjską albo stepową. Może okazać się, że numer piąty będzie tym, czego szuka.

Kiedy indziej Rye zainteresowałby się faktem, że być może jego łąka pomoże w walce z głodem na świecie, ale w tej chwili jedynym głodem, o którym mógł myśleć, był ten, który czuł w obecności tej dziewczyny.

- Ten Boss Mac okazał się bardzo hojny - ciągnęła Lisa. Zapomniała już o rozczarowaniu, jakie poczuła, gdy okazało się, że Rye tylko zakpił z niej, i z entuzjazmem opowiadała o znaczeniu badań. - Przecież to jest znakomite miejsce na letnie pastwisko, a on po prostu zostawił je odłogiem dla eksperymentów, które nie przyniosą mu żadnego pożytku.

- Może lubi, kiedy tu jest cisza i spokój.

- To prawda, czyż tu nie jest pięknie? - powiedziała, rozglądając się wokół z uśmiechem.

- Słyszałam, że jest to jego ulubione miejsce, ale od kiedy ja tu jestem, nie pokazał się ani razu.

- I co, jesteś rozczarowana?

- Nie - odpowiedziała, zaskoczona tymi słowami. - Po prostu współczuję mu, widocznie jest tak zajęty, że nawet nie ma czasu, żeby tu zajrzeć.

- O tak, jest bardzo zajęty. Tak bardzo, że zlecił mi, żebym przez to lato doglądał łąki. Nie ma czasu, żeby tu przyjechać i przekonać się, jak się sprawy mają - mówił, przyglądając się uważnie Lisie, szukając oznak niezadowolenia na jej twarzy na wiadomość, że tak misternie przygotowana pułapka nie na wiele się zda, jeśli chodzi o Edwarda McCalla III.

- Aha. W takim razie może potrzebujesz pomocy? Nie wiem, jaką pracę wykonujesz, profesor zaś nauczył mnie tylko robienia notatek na temat oznaczonych traw, fotografowania ich i prowadzenia dziennika pogody.

- Och, po prostu trzeba mieć oko na wszystko - odpowiedział ostrożnie.

Lisa uśmiechnęła się i ruszyła do następnej oznaczonej kępy. Po chwili wahania wszedł za nią na łąkę. Przyglądał się jej kształtom w znoszonych, obcisłych dżinsach.

- Dżinsy chyba nosi się na całym świecie - odezwał się.

- Słucham?

Uświadomił sobie, że wypowiedział na głos swoją myśl.

- Te dżinsy pewnie nosisz już długo.

- Nie, to były spodnie jednej ze studentek profesora Thompsona. Chciała właśnie je wyrzucić, więc pokazałam jej, jak można je załatać. Tak jej się to spodobało, że poszła kupić sobie nowe, wybieliła je, żeby straciły kolor, a następnie godzinami naszywała na nie łąty. - Roześmiała się, kręcąc głową. - Do tej pory nie rozumiem, dlaczego nie zatrzymała tych.

- Moda. Kobiety po prostu ulegają kaprysom mody. Muszą zwracać na siebie uwagę mężczyzn.

Lisa pomyślała o ciemnoniebieskich tatuażach, brzęczących bransoletach na kostkach, klejnotach w nosie i czarną linią obwiedzionych oczach, co było przejawem modnego wyglądu w wielu rejonach świata.

- Tak, chyba tak - powiedziała.

Uklękła i szybko zrobiła zdjęcie, a następnie podniosła się z wdziękiem, Rye zaś pomyślał, jak przyjemnie byłoby czuć całym sobą jej giętkie ciało w powolnym akcie miłosnym. I zaraz zdał sobie sprawę z tego, że powinien myśleć o czymś innym albo będzie zmuszony nosić swój -kapelus z zawieszony na klamrze od paska.

- Co będziesz robiła, kiedy lato się skończy? - zapytał.

Lisa w pierwszej chwili nic nie powiedziała, a następnie zaczęła się śmiać.

- Czy powiesz mi, co w tym śmiesznego?

- Och nie, nic- uspokoiła go. - Tylko w pierwszej chwili nie mogłam zrozumieć twojego pytania. Widzisz, ja wciąż mam poczucie czasu takie, jak wówczas, kiedy przebywałam wśród prymitywnych plemion. Tam nie ma jutra, żyje się tym, co przynosi każdy dzień. Według tych zasad zawsze mieszkałam i będę mieszkać na tej łące, a lato nigdy się nie skończy. Bardzo trudno jest zmienić taki sposób rozumowania. Zwłaszcza kiedy się jest tutaj - dodała, patrząc na przeczesywane wiatrem trawy. - Tu nie ma godzin, są tylko pory roku.

- A dni to minuty odmierzane przez słońce - powiedział Rye, uśmiechając się lekko.

Spojrzała na niego z intensywnością, która była prawie namacalna.

- Ty to rozumiesz - powiedziała ze zdziwieniem.

- Na tej łące czuję się tak samo. Dlatego przyjeżdżam tu tak często, jak tylko mogę.

Te słowa potwierdziły jej wcześniejsze przypuszczenia. Chodziło mu o łąkę, ją zaś odwiedzał tylko przy okazji. Westchnęła.

- Długo pracujesz u Bossa Maca? - spytała.

- O jaki czas ci chodzi?

- O czas, w którym wy żyjecie - odparła uśmiechając się. - Muszę się do niego przyzwyczaić, tak jak i do innych rzeczy w tym kraju. A więc?

- Jestem tutaj tak długo jak Mac. Ponad pięć lat.

- Daleko stąd do Teksasu. Często widzisz się z rodziną?

- Zbyt często - mruknął, po czym westchnął. - Nie, to nie było fair. Kocham mojego ojca, ale nie mogę z nim wytrzymać.

- Macie wiele wspólnego z twoim szefem.

- Tak? - Nagle znów stał się ostrożny.

- Obaj lubicie tę łąkę i obaj, macie problemy ze swoimi ojcami. W każdym razie Lassiter mówił, że Boss Mac ma problemy. Wygląda na to, że jego ojciec chce mieć dziedziców, a synowi wcale się do tego nie śpieszy.

- Też tak słyszałem.

- Ciekawe dlaczego. Większość mężczyzn chce mieć synów.

- Może nie spotkał kobiety, która pragnęłaby Maca tak mocno jak jego pieniędzy.

- Naprawdę? To on jest taki okrutny?

- Co takiego? - Rye był zaskoczony.

- Kobieta może nie chcieć wyjść za człowieka, który jest zbyt biedny albo leniwy i nie zadba o potrzeby jej i ich przyszłych dzieci - wyjaśniła cierpliwie. - Ale tylko raz w życiu widziałam, jak

kobieta odrzuca bogatego mężczyznę. Był okrutnikiem i obawiała się powierzyć mu swe życie, nie mówiąc już o życiu dzieci.

- Tu nie o to chodzi - odpowiedział stanowczo. - On po prostu szuka kobiety, która chciałaby go nawet wtedy, gdyby w kieszeni miał tylko płótno.

Lisa zdawała sobie sprawę, że Rye mówi również we własnym imieniu. Był biedny i bardzo dumny. Pewnie raniło jego miłość własną to, że nie jest w stanie wiele zaoferować kobiecie.

- A może Boss Mac zadawał się z niewłaściwymi osobami - powiedziała ostrożnie. - Mój ojciec nigdy nie miał pieniędzy i nie zależało mu na nich, a mama wcale o to nie dbała. Tyle ich łączyło, że pieniądze nie stanowiły problemu.

- A ty pewnie mogłabyś do końca życia mieszkać w namiocie i jeść ze wspólnej miski?

- Tak, mogłabym być szczęśliwa także w takich warunkach.

- W takim razie po co tutaj przyjechałaś?

- Bo coś mnie ... niepokoiło. Chciałam zobaczyć, czy tu mogłabym żyć.

- I kiedy już zobaczyłaś, będziesz mogła pojechać ze swoim mężem na pustynię i przenosić się z jednego obozu do drugiego?

- Z mężem? Do obozu? - Lisa była tak zdziwiona, że zaczęła podejrzewać, iż jakaś część rozmowy musiała umknąć jej uwagi.

Rye przeklął w myśli swój długi język. Boss Mac mógł coś wiedzieć o planach studentów profesora Thompsona, ale nie taki zwykły kowboj jak on.

- Więc jeżeli Boss Mac nie pokaże się tutaj przed końcem lata, jesienią wrócisz na uczelnię, prawda?

Lisa nie wiedziała, co obecność Bossa Maca ma z tym wspólnego, ale widziała, że Rye jest z jakiegoś powodu zdenerwowany.

- Tak, chyba tak - odpowiedziała tylko.

- W takim razie nie trzeba geniusza, żeby domyślić się, że spotkasz tam jakiegoś adepta antropologii, wyjdiesz za niego za męża i będziecie włóczyć się po całym świecie, żeby liczyć muszki razem z tubylcami. - Popatrzył na aparat. - Skończyłaś już z tym?

- Co? Nie, jeszcze nie.

- W takim razie jak skończysz, to przyjdź do chaty. Nauczę cię posługiwać się siekierą, żebyście razem z twoim wysoce wykształconym mężem nie zamarli na śmierć w samym środku jakiejś cholerycznej puszczy.

Bez słowa patrzyła, jak Rye idzie szybkim krokiem krokami przez łąkę, nie obejrzawszy się ani razu. Przypomniało się jej określenie, którego kiedyś użył Lassiter:

"Co go ugryzło?"

ROWZIAL SZÓSTY

Rytmiczny odgłos wbijanej w drewno siekiery rozlegał się po łące. Ustawiał tylko w momentach, kiedy Rye pochylał się, żeby przesunąć kłodę. Zazwyczaj to zajęcie uspokajało go. Nie musiał myśleć o przyczynach swojej złości. Z każdym uderzeniem przysięgał sobie, że będzie bardziej panował nad swym językiem w obecności Lisy. To nie jego interes; co ona zrobi albo czego nie zrobi, kiedy stąd wyjedzie. Jeśli chodzi o niego, to może nawet wyjść za męża za Zulusa. Za dziesięciu cholerycznych Zulusów.

Siekiera wbiła się tak głęboko, że musiał ją podważyć, żeby uwolnić ostrze. Klnąc, przyjrzał mu się dokładnie. Wystarczyło kilka pociągnięć oselką, by zrobiło się ostre jak brzytwa. Potem zdjął koszulę, rzucił ją na ułożony stos drzewa i zabrał się na serio do roboty. Pilnował się, żeby nie myśleć o Lisie, bo wtedy tracił panowanie nad sobą.

Tymczasem Lisa zatrzymała się przy strumieniu, pod kępą drżącej osiki i patrzyła na żółte kawałki drewna odskakujące spod błyszczącej, olbrzymiej siekiery. Rye trzymał ją z taką łatwością, jakby była przedłużeniem jego ramienia. Pot spływał maleńkimi strumyczkami po jego plecach i sprawiał, że skóra lśniła w słońcu. Na piersiach, pokrytych gęstymi, czarnymi włosami również połyskiwały kropelki potu. Obserwowała, jak podnosi siekiere i napina mięśnie, by użyć całej siły do wbicia jej w drewno. Za każdym razem był to widok równie fascynujący i mogła tak stać i przyglądać mu się bez

końca. Nie miała pojęcia, jak długo to trwało, aż w końcu Rye odłożył siekiere, podszedł do strumienia i nabrał pełne dłonie wody. Pił chciwie, a następnie oblał sobie wodą głowę i ramiona, zmywając z nich pot. Następnie ukląkł na chwilę i przesunął palcami po zmarszczonym lustrze wody z delikatnością zadziwiającą u kogoś o tak potężnym ciele.

Ich oczy spotkały się i przez moment Lisa miała uczucie, jakby to jej ciała dotykał przed chwilą, a nie powierzchni wody. Gdzieś głęboko w środku narastało ciepło i ogarniało ją powoli.

Podniósł się zwinnym ruchem i podszedł do niej.

Zatrzymał się w odległości zaledwie paru centymetrów i Lisa poczuła zimną woń wody zmieszanej z zapachem jego ciała. Był tak blisko, że mogłaby zliczać krople wody z jego skóry. Zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco.

- O czym myślisz? - zapytał niskim, głębokim głosem.

Z trudem oderwała wzrok od tych kropli perlących się na włosach na jego piersi i popatrzyła mu w oczy. Chciała się odezwać, ale nie mogła wydobyć głosu. Bezwiednie przesunęła językiem po wargach. Usłyszała, jak Rye gwałtownie wciąga powietrze.

- Myślę? - Słowa z trudem wydobywały się ze ściśniętego gardła. - Tego, co robię, kiedy jestem blisko ciebie, na pewno nie można tak określić. - W zdenerwowaniu wyjawiała drugą rzecz, jaka przyszła jej do głowy, gdyż pierwszą było pytanie, czy mogłaby zliczać tę wodę z jego skóry. - Czy sądzisz, że lepiej pójdzie mi rąbanie, jeśli też się rozbiore do pasa?

To miał być żart, ale spojrzenie Rye'a wędrujące powoli wzdłuż zapięcia bluzki zaniepokoiło Lisę.

- Świetny pomysł - powiedział, sięgając jednocześnie do górnego guzika. - Dlaczego sam na to nie wpadłem?

- Przecież to był żart - zaprotestowała rozpaczliwie i chwyciła go za ręce. Były twarde, ciepłe i emanowała z nich taka siła, że ją to przeraziło.

- Zdejmij bluzkę i zobaczymy, kto się uśmieje. Znów usiłowała bez powodzenia coś powiedzieć i zobaczyła, że w oczach Rye'a pojawiają się iskierki rozbawienia. Westchnęła, czując jednocześnie i ulgę, i coś zbliżonego do rozczarowania.

- Muszę z tym skończyć - powiedział.

- Z takimi propozycjami?

- Nie! Z tym łapaniem się na twoje dowcipy. Bierzesz mnie na to za każdym razem.

- Maleńka, przecież jeszcze ani razu cię nie wziąłem.

Zdała sobie sprawę, że ściska z całej siły jego ręce, jakby bez tego mogła utonąć. Ale przecież tak się czuła, gdy patrzyła w jego oczy - spadała i tonęła, pogrążając się w mrocznej otchłani.

- I jak z tym będzie?

- Z wzięciem mnie? - spytała nieswoim, wysokim głosem.

- A chciałabyś?

- Pomóż mi - wyszeptała, gdyż jego uśmiezek sprawiał, że serce w niej omdlewało.

- Przecież to ci proponuję.

- Jak to?

- Nie chcesz się nauczyć?

- Nauczyć? Czego?

- Jak się rąbie drzewo. Miałaś coś innego na myśli?

- Tracę głowę w twojej obecności - wyznała. - Więc jak mogę o czymkolwiek myśleć?

Zaczął śmiać się na cały głos, a Lisa po chwili zdała sobie sprawę, że śmieje się razem z nim, nie przejmując się tym, że to ona tak go rozbawiła. Nie było w jego zachowaniu żadnej złośliwości, a jedynie żartobliwe, niewinne dokuczanie - coś, z czym jeszcze się nie spotkała. Nie mogła się temu oprzeć ani czuć się obrażona.

- To mi bardziej odpowiada - powiedziała.

- Co?

- Takie pokpiwanie.

Przez chwilę miał zdziwioną minę, ale zaraz uśmiechnął się w taki sposób, że poczuła mrowienie w palcach u nóg.

- Lubisz sobie żartować ze mnie, prawda?

- No jasne.

- To się nazywa flirtowanie-wyjaśnił. - Większość ludzi to lubi.

Teraz z kolei ona się zdziwiła.

- To tak flirtują kowboje?

- Tak flirtują mężczyźni z kobietami, skarbie. A jak to robili tam, skąd przyjechałaś?

Pomyślała o ukośnych spojrzeniach śliwkowych oczu, kołyszących się obfitych biodrach, wypiętych dumnie piersiach.

- Oni to wyrażają gestami.

Rye wydał jakiś dziwny odgłos i znów parsknął śmiechem.

- Coś ci powiem. Ty nauczysz mnie, jak robią to mieszkańcy buszu, a ja w zamian nauczę cię rąbać drzewo.

Lisa miała niejasne uczucie, że "to", o czym mówił Rye, nie było tym samym, co ona miała na myśli. Już otwierała usta, żeby to wyjaśnić, ale zobaczyła, że na jego twarzy pojawia się śmiech. Czekał, aż Lisa wpadnie w misternie zastawioną pułapkę.

- O, nie - odparła szybko. - Na to nie da się nabrać nawet żółtodziób czy jak tam nazywacie takie idiotki jak ja. Ja się zapytam, co to jest "to", czego mam cię nauczyć, a wtedy ty zapytasz mnie, co miałam na myśli mówiąc "to", więc ja zacznę ci wyjaśniać, ty będziesz się ze mnie śmiać, aż w końcu język mi stanie kołkiem, a twarz nabierze koloru słońca o świcie.

- Właśnie to chciałem zobaczyć. - Uskoczył na bok i roześmiał się. - Jeżeli wepchniesz mnie do strumienia, to uprzedzam, że też będziesz cała mokra.

- Nieładnie wykorzystywać to, że jestem słabsza od ciebie. Nie uważasz, że zawsze powinno się grać fair?

- Zdjąłem to przekonanie razem z koszulą. - Cekał przez chwilę, obserwując jej reakcję, i spostrzegł, że Lisa powstrzymuje się, aby nie odpowiadać mu zbyt pochopnie. - Pozwól mi to zrobić za ciebie.

- Co takiego?

- Ugryźć się w język. Będę bardzo delikatny, nawet nie zostawię śladów.

Lisa na chwilę wstrzymała oddech. Po chwili przypomniała sobie, że to taka forma żartowania z dziewczyny, która nie jest przyzwyczajona do amerykańskiego poczucia humoru, do mówienia dowcipów z kamienną twarzą.

- Wolałabym, żebyś zamiast tego nauczył mnie, jak zostawiać znaki na pniach. Duże znaki.

Przez chwilę mogła przysiąc, że Rye jest zawiedziony, ale to wrażenie minęło tak szybko, że nie była pewna, czy się nie myli.

- Duże znaki? - powtórzył. - żeby rąbać tak jak ja, trzeba mieć mięśnie atlety. - Przesunął wzrokiem po jej piersiach i biodrach. - A ty nie nadajesz się na drwala. - To bardzo dobrze-odrzekła z powagą. -Z czarną brodą wyglądałabym okropnie.

W jasnych oczach błyszczało rozbawienie, ale Rye usiłował zachować powagę.

- No to zobaczymy, czego można będzie cię nauczyć.

Wyciągnął do niej rękę, a Lisa ujęła ją bez wahania.

Dłoń Rye'a była twarda i ciepła. Wywołała w niej taki dreszcz, że wstrzymała oddech. Razem podeszli do miejsca, gdzie leżały pnie przeznaczone do porąbania. Rye podniósł siekiere jedną ręką, w drugiej wciąż trzymając dłoń Lisy, i popatrzył w jej szeroko otwarte oczy. Dostrzegł uśmiech, nad którym nie umiała zapanować. Przyszło mu na myśl, że już bardzo dawno, chyba od śmierci matki, nie czuł się tak spokojny. Lisa miała taką samą zdolność dostrzegania pozytywnych aspektów każdej sytuacji i uśmiechem, słowem czy spojrzeniem sprawiała, że wszystko wokoło stawało się lepsze i piękniejsze.

Po raz pierwszy zastanowił się, czy to nie poszukiwania takiej rzadko spotykanej radości życia rzucały jego ojca w ramiona kolejnych kobiet, którym jedyną przyjemnością sprawiała realizowanie jego czeków. Tak samo mogło być z młodszym bratem Rye'a, który dwa razy ożenił się i rozwiódł, zanim skończył dwadzieścia pięć lat. Dobrze, że chociaż ich siostra Cindy szybko nauczyła się wyczuwać różnicę między mężczyznami, którzy pragnęli jej samej, a tymi, którym chodziło o uszczknięcie czegoś z fortuny McCallów.

Tego akurat był pewien, jeżeli chodziło o Lisę - nie uśmiechała się tak do niego z powodu pieniędzy i dzięki temu jej uśmiech wydawał się być jeszcze piękniejszy. To było dla niego nowe, niespotykane doświadczenie - po raz pierwszy w życiu był pewien, że podoba się dziewczynie po prostu jako mężczyzna.

Wreszcie zdał sobie sprawę, że wciąż tak stoi z siekiere w prawej ręce, lewą ściskając ciepłe palce Lisy, i uśmiecha się do niej.

- Masz zaraźliwy uśmiech - powiedział i uściśnął jeszcze raz lekko jej palce, apotem wypuścił jej dłoń i podał siekiere. - Musisz używać obu rąk. Kiedy ja rąbię, trzymam siekiere za koniec trzonka. Ty tak nie możesz robić, bo masz za krótkie ręce, więc musisz chwycić ją wyżej. Jak unosisz siekiere w górę, niech prawa ręka ześlizguje się w górę trzonka, a jak ją opuszczasz, niech się przesuwają z powrotem. Ale zawsze lewą ręką musisz trzymać mocno. Popatrz.

Rye zademonstrował, jak należy to robić. Lisa próbowała patrzeć na siekiere i jego ręce, ale było to niemożliwe. Fascynowała ją giętkość jego pleców i gra mięśni pod opaloną skórą.

- Chcesz spróbować? - zapytał.

Ledwo powstrzymała się przed zadaniem pytania, czego ma spróbować. Biorąc siekiere, dotknęła jego ręk. Promieniowała od nich siła i ciepło, które było czymś więcej niż tylko ciepłem ludzkiego ciała. Trzymała niepewnymi rękami gładkie drewno trzonka i próbowała sobie przypomnieć, co przed chwilą jej powiedział. Wzięła głęboki oddech, podniosła siekiere i opuszczyła ją na pień. Siekiera odskoczyła, ledwo zadrasnąwszy pokiereszowany kłoc. Powtórzyła uderzenie i siekiera znów odskoczyła. Spróbowała jeszcze raz. To samo.

- Czyżbym zapomniał ci powiedzieć, że twoje plecy powinny uczestniczyć w tej czynności? - odezwał się po trzeciej próbie.

- To jest wystarczająco skomplikowane i bez zatrudniania pleców - mruknęła.

Przez chwilę był zakłopotany, ale zaraz przypomniał sobie, jak wiele znaczeń nadawali dzisiaj słowu "to". - To bardzo skomplikowane - zgodził się.

- Oczywiście. Dlatego proszę już bez żadnych niedomówień. Albo mów precyzyjnie, albo się nie odzywaj.

Bardzo się starał, żeby się nie roześmiać.

- Jasne. Spróbujmy więc tego ee ... rąbania w taki sposób. Pomogę ci złapać rytm.

Stał za jej plecami i położył swoje ręce obok jej dłoni obejmujących długi trzonek. Przy każdym oddechu czuła zapach żywicy i męskiego ciała. Jego skóra była gładka i gorąca, a oddech łaskotał jej szyję, rozwiewał delikatne kosmyki, które wymknęły się z warkoczy. Kiedy się poruszał, jego pierś muskała jej plecy i ta bliskość sprawiała, że kręciło jej się w głowie, a ziemia wymykała spod nóg. &iskała trzonek siekiery tak mocno, że aż pobiełały jej kostki palców, ponieważ wydawał jej się jedyną stałą rzeczą w tym wirującym jej przed oczami świecie.

- Liso?

Bezradnie podniosła na niego wzrok. Był tak blisko, że mogłaby policzyć jego gęste, ciemne rzęsy i każdą kolorową plamkę w szarych oczach. Jego usta oddalone były tylko o parę centymetrów. Gdyby wspięła się na palce, a on pochylił głowę, znów mogłaby posmakować słodczy i sprężystości tych warg.

Rye wyjął siekiere z nie stawiających oporu rąk i niedbałym machnięciem wbił ostrze w pień.

- Chodź tu bliżej - wyszeptał, pochylając się ku niej. - Bliżej. O, tak jak teraz. - Ostatnie słowa były już tylko westchnieniem wypowiedzianym tuż przy jej ustach. Objął ją mocniej i przyciągnął do siebie.

Poczuła ciepło szerokiej piersi, twardość mięśni, a potem jego wargi. Na oślep chwyciła go za ramiona, szukając oparcia w wirującym świecie, doznając ukojenia, upajając się jego ustami i czując kontrast mi~miękkością warg Rye'a a szorstkim zarostem. Pragnęła, żeby ta chwila trwała wiecznie. Nagle uścisk rozluźnił się i poczuła, że Rye się odsunął.

- Co się z tobą dzieje? - spytał szorstko. - Zbliżasz się do mnie tak, jakby dzisiaj miał być koniec świata, ale kiedy cię całuję, nic się nie dzieje. Czy to mają być żarty?

Pożądanie i zawstydzenie na zmianę oblewały ją falami gorąca. Poczuła, że się czerwieni.

- Ja myślałam, że to ty żartujesz.

- Kiedy?

- Gdy mnie pocałowałeś - powiedziała. - Dla ciebie to żart, prawda? Ze mnie, oczywiście. - Westchnęła głęboko, niepewnie i brnęła dalej. - Rozumiem, że pokazujesz mi, jaki ze mnie żółtodziób. Staram się to traktować jak zabawę, ponieważ rzeczywiście masz rację. Jeśli chodzi o całowanie, to jestem zupełnie zielona. Nigdy nikogo, oprócz moich rodziców, nie całowałam, a za każdym razem, kiedy ty mnie całujesz, robi mi się na przemian zimno i gorąco, trzęsę się cała, nie mogę złapać tchu, nie mogę myśleć i ... i rozumiem, że wydaję się przez to zabawna. Kiedy już skończysz nabijać się ze mnie, naucz mnie, jak się trzyma siekiere, ale proszę cię, nie stój tak blisko, bo wtedy mogę myśleć tylko o tobie, kolana robią Jni się miękkie i ręce też, i mogę upuścić siekiere. Dobrze?

Potok chaotycznych słów wreszcie się skończył i Lisa zerknęła z niepokojem, oczekując wybuchu śmiechu. Ale Rye nie śmiał się, tylko patrzył na nią, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

- Ile masz lat? - spytał w końcu.

- A który jest dzisiaj?

- Dwudziesty piąty lipca.

- Już? W takim razie wczoraj skończyłam dwadzieścia lat.

Przez długą chwilę Rye nic nie mówił. Lisa stała bez ruchu, obawiając się nawet oddychać. On przyglądał się jej od czubka głowy otoczonego koroną z platynowych warkoczy do palców u nóg, wystających z dziurawych adidasów.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział cicho, rzucił jeszcze krótkie spojrzenie na jej usta i utkwiał wzrok w oczach. - Jest taki stary, przyjemny amerykański zwyczaj, związany z urodzinami - dodał, uśmiechając się. - Pocałunek za każdy rok. I pamiętaj, małeńka, że kiedy będę cię całował, to nie będzie miało nic wspólnego z żartami.

Lisa rozchyliła usta, ale nie padło żadne słowo.

Wpatrywała się w jego wargi z ciekawością i zmysłowym głodem, równie niewinnym jak zachęcającym. Przedtem widział tylko zachętę, dopiero teraz dojrzał również niewinność.

- Nie całowałaś nikogo oprócz rodziców? - spytał ochryplym głosem.

Potrząsnęła głową, nie odrywając wzroku od jego ust. Rye ujął jej rękę, delikatnie rozchylił palce i pocałował wewnątrz dłoni.

- Raz.

Pocałował nasadę kciuka. - Dwa.

Teraz dotknął ustami czubka palca wskazującego. - Trzy.

Nie mogła powstrzymać gardłowego jęku, kiedy jego zęby delikatnie chwyciły skórę wewnątrz dłoni. Nie poczuła bólu, to było podniecające uczucie, jakby coś ścisnęło ją w żołądku.

- Cz ... cztery?- spytała.

. Potrząsnął głową, pocierając jej dłonią o swój policzek.

- To się nie liczy. Ani też to.

Dotknął czubkiem języka wrażliwego miejsca między pierwszym i drugim palcem, a następnie przygryzł lekko zębami, jakby sprawdzając jego sprężystość.

Powtarzał to ze wszystkimi palcami - czuły ucisk zębów na zmianę z gorącym, wilgotnym dotknięciem języka. W końcu chwycił wargami jej mały palec i pieścił go zębami i językiem, aż Lisa zadrżała gwałtownie. Uwolnił ją powoli, delikatnie.

- Lubisz to? - zapytał.

- Tak - westchnęła. - Och, tak.

- A lubisz, jak całuję cię w usta?

Jeszcze zanim skończył mówić, pochylił się i zobaczył odpowiedź w jej pociemniałych nagle oczach. Bursztynowe rzęsy osłoniły ich głębiej, a ona uniosła ku niemu twarz z niewinnością i ufnością, jak kwiat otwierający się do słońca. Wiedział, że powinien powiedzieć jej, żeby tak bardzo mu nie ufała. Był mężczyzną i pragnął jej ciała, chciał pieścić i poznawać każdy jego zakątek, chciał poczuć, jak jej miękkość ustępuje jego twardości, przywiera do niego i okrywa go sobą.

- Bliżej - szepnęła. - Podejź bliżej. Chcę, żebyś znowu wspierała się na palce. Bliżej ... o tak.

Wyrwał mu się jęk rozkoszy, kiedy poczuł, jak Lisa oplata rękami jego nagi tors, jak drży w jego ramionach. Gwałtownie, mocno przywarł do jej ust i poczuł, że zeszytywniała zaskoczona, kiedy jego język wędrował po jej zaciśniętych wargach. Zmusił się z wysiłkiem do rozluźnienia uścisku i oparł czoło o jej upięte warkocze, walcząc o odzyskanie panowania. nad oddechem i swoją nieposłuszną żądzą.

- Rye? - odezwała się niepewnie.

- Wszystko w porządku ?

Podniósł głowę i zaraz znów ją pochylił, szukając jej ust.

- Tylko pozwól mi... jeszcze raz... och, skarbie, pozwól. Tym razem będę delikatny ... Tak ...

Zanim zdążyła coś powiedzieć, jego usta znów dotknęły jej warg. Smakował je raz po raz, muskając delikatnie, wzmacniając pocałunek tak powoli, że zacisnęła ramiona na jego szyi i przyciągnęła do siebie. Poczuła zęby zaciskające się delikatnie na jej dolnej wardze i z ust wydobyło się ciche westchnienie.

- Tak - wyszeptał, liżąc językiem maleńkie znaki, jakie zostawiły na wargach Lisy jego zęby. -

Otwórz się dla mnie, maleńka, pragnij mnie.

Jej wargi rozchyliły się i zadrżała, kiedy dotknął językiem delikatnego wnętrza ust. Przesuwająca się, nieuchwytna podnieta drażniła i rozpaliała jej ciało. - Tak - powiedział. - Tak jak teraz.

Zmysłowa pieśczoła języka Rye'a wyrwała okrzyk z jej ust. Gorąca fala przepłynęła przez jej ciało i Lisa miała uczucie, jakby zaczęła się roztopiać. Bezwiednie przywarła do Rye'a, próbując czerpać moc z jego siły, a jedyną realną rzeczą była rytmiczna pieśczoła jego języka. Zatraciła się w niej, ciesząc się dotykiem go i odkrywaniem jego smaku.

Po długiej, długiej chwili Rye powoli się wyprostował. Przytulał delikatnie Lisę do piersi i próbował bez powodzenia opanować dreszcze pożądania. Kiedy spostrzegł, że jej ciałem wstrząsa gwałtowne drżenie, nie mógł powstrzymać westchnienia tryumfu. Przecież Lisa była tak niewinna i to wszystko sprawił jeden jego pocałunek.

- Pięć - odezwała się w końcu rozmarzonym głosem, ocierając się policzkiem o jego pierś. - Nie mogę już doczekać się szóstego.

- Ja też nie. I zaraz znów cię pocałuję, nawet gdyby miało mnie to zabić, a wydaje mi się, że tak może się stać.

Zobaczył zdziwienie w jej wzroku i uśmiechnął się, pomimo obezwładniającego pożądania.

- Wyglądasz, jak mały, ciekawski kotek. Czy tatuś nie mówił ci, że ciekawość to pierwszy stopień

do piekła?

- Raczej do wiedzy.

Uśmiechnął się, słysząc jej odpowiedź, ale wcale nie czuł się uspokojony. Nie miał zamiaru wykorzystać jej niewinności i uwodzić jej, zanim Lisa zorientuje się, co się dzieje i będzie w stanie zaprotestować. Sumienie nie pozwalało mu wziąć dziewczyny, która nawet nie wie, kim on jest. Jednak nie chciał jej tego powiedzieć, bo wtedy zamiast zmysłowości w jej oczach pojawiłoby się wyrachowanie.

Poza tym przespać się mógł z setkami kobiet, ale uśmiechać się tak niewinnie potrafiła tylko ona.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lisa nuciała cicho, zabierając się do szycia koszuli dla Rye'a. Materiał, który zaczęła kroić, miał kolor lśniącej szarości, z delikatnymi niebieskimi i zielonymi plamkami, dzięki czemu przypominał jego oczy, kiedy na nią spoglądały. A spoglądały przez cały czas - od chwili, kiedy wjeżdżał na koniu na łąkę, aż do ostatniego spojrzenia przez ramię, zanim zniknął na ścieżce prowadzącej na rancho.

Na tym jednak się kończyło. Nie całował jej więcej. Nie brał jej w objęcia. Nie ścisnął jej ręki ani nie proponował, że nauczy posługiwania się siekierą. Było tak, jakby tamte chwile przy pniu do rąbania nigdy się nie zdarzyły. Wciąż śmiał się z niej i pokpiwał, aż się rumieniła, patrzył na nią z tym samym głodem w oczach, ale już więcej jej nie dotykał. Pewnego razu Lisa przypomniała mu o urodzinowym zwyczaju - i o tym, że pocałował ją tylko kilka razy - ale odpowiedział chłodno, że jej urodziny dawno minęły.

Wówczas zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu Rye stara się nawet jej nie dotknąć. A jednak przyjeżdżał codziennie, choćby na parę minut. Instynktownie czuła, że nie tylko łąka jest powodem, dla którego przebywa taką długą drogę. Po prostu jest biedny i dumny, powiedziała sobie, kończąc wykrawanie ostatniej części. Zbyt dumny, żeby zalecać się do kobiety, dopóki nie zdobędzie pieniędzy. Ale przecież na zabawę na rancho Bossa Maca nie trzeba kupować biletów.

W takim razie dlaczego mnie nie zaprosi, spytała samą siebie pod wpływem jakiegoś wewnętrznego głosu. Dlatego, że na zabawę wszyscy starają się ubrać jak najładniej, a na to potrzeba pieniędzy. Ale dostanie ode mnie tę koszulę i nie będzie mógł odmówić, ponieważ ona ma zastąpić tamtą, którą zniszczył, rąbiąc dla mnie drzewo.

Zadowolona ze swego planu, nuciała dalej, przygotowując przybory, którymi miała posługiwać się przy szyciu. Posiadała tylko igły, nici, nożyczki i zręczne palce, ale nie potrzebowała niczego więcej. Szyła już przeróżne ubrania od momentu, kiedy była na tyle duża, że potrafiła utrzymać igłę. Wykrój nowej koszuli pochodził ze starej, którą pieczołowicie popruła na poszczególne części i według nich wykroiła nowe. Jediną zmianą było dodanie kilku centymetrów w ramionach, bowiem stara koszula była już nieco za wąska i podczas pracy naciągała się na potężnych barkach Rye'a.

Miała tylko kłopot z guzikami. Spróbowała wyciąć je z drewna, ale okazało się, że wyglądałyby zbyt topornie przy tak delikatnym materiale. W końcu odkryła rozwiązanie, leżące dosłownie pod nogami. Każdego roku jelenie zrzucają stare rogi i wyrastają im nowe. Zaś rzeźbienie w rogu i kości było jedną ze sztuk, którą posiadała równoległe z przerabianiem kawałka szkła na prowizoryczny nóż. Jak przy większości prymitywnych technik, potrzeba było do tego czasu, cierpliwości i samozaparcia. Dla niej akurat nie stanowiło to problemu. Mieszkając na łące, kontynuowała ów powolny, plemienny rytm życia, gdzie nie było trudne zachować cierpliwość, gdyż nie było po co się spieszyć. Cieszyła się, widząc, że guziki powoli osiągają pożądany kształt. Z przyjemnością polerowała każdy z nich i myślała o tym, jakie mile uczucie będzie towarzyszyło Rye'owi, gdy jego wrażliwe palce dotkną ich jedwabistej gładkości. Tak samo było zresztą przy szyciu niewiarygodnie delikatnej, lnianej tkaniny - czuła zadowolenie, wiedząc, że kiedy Rye włoży tę koszulę, jej miękki dotyk będzie sprawiał mu przyjemność.

Nucąc piosenkę równie starą jak technika, której używała, Lisa sfastrygowała części koszuli. Chciała teraz zrobić przerwę na obiad, ale przypomniała sobie, że miała zamiar się umyć. Sprawdziła temperaturę wody w beczce, którą Rye przesunął na nasłonecznione miejsce, i nabrała jej do garnka. Zniosła do chaty i umyła się z wprawą kogoś, dla kogo kąpiel w wiadrze jest codziennością. Potem włożyła bładniebieską bluzkę, pochodzącą z targu na drugim końcu świata. Jedna w dwóch par

znoszonych dzinsów, jakie posiadała, przetarła się zupełnie na kolanach, więc miejscowym zwyczajem ucięła nogawki, robiąc z nich szorty. Sierpień nawet w górach był wystarczająco ciepły, by mogła chodzić z gołymi nogami.

Wyszła na zewnątrz i starała się nie patrzeć w kierunku ścieżki. Jeżeli Rye w ogóle dzisiaj przyjedzie, to zjawi się tu późnym popołudniem. Często wpadał tylko na parę minut, pytał, czy Lisa czegoś nie potrzebuje, czy czuje się dobrze i czy nie skaleczyła się przypadkiem. Odpowiadała tylko "nie" i "tak" i znowu "nie", a potem rozmawiali chwilę o łące i o pogodzie.

I patrzyli na siebie wzrokiem pełnym tego wszystkiego, co nie zostało powiedziane.

Podeszła do beczki i popatrzyła na swe odbicie w wodzie. Pobyt na łące sprawił, że jej skóra nabrała złotawego odcienia, a także jakiejś jedwabistej gładkości, której przedtem nie miała. To samo działo się z ustami - były teraz pełniejsze, bardziej wilgotne, bardziej różowe, jakby mimo woli zachęcały do pocałunków. Dawniej marzenia nie sprawiały, że piersi stawały się nabrzmiałe, obolałe, a ciało drżało w gorączce, której źródło tkwiło gdzieś głęboko, w samym centrum kobiecości.

Nalała wody do wiadra, rozplotła warkocze i zanurzyła je w wodzie. Rozpuszczone włosy sięgały jej do bioder, były gęste i lekko wijące się. Dokładnie wytarła je ręcznikiem i starannie rozczesła. Czując, że ma ochotę na drzemkę, przeniosła śpiwór przez ogrodzenie i ułożyła się na łące, zwiijając w kłębek na brzuchu,

by włosy mogły szybko wyschnąć. Łagodny wietrzyk, ciepłe słońce i usypiające brzęczenie owadów sprawiły, że niemal natychmiast zapadła w sen.

Rye przeskoczył przez płot i stanął jak wryty.

W pierwszej chwili pomyślał, że Lisa jest zupełnie naga, przykryta jedynie gładzonymi wiatrem włosami, których piękna dotychczas nie dostrzegł, bo Lisa spletała je i upinała. Stał jak sparalizowany, ledwo oddychając, czując się tak, jakby ujrzał nimfę, ukrywającą się przed ludzkim okiem.

Mocniejszy podmuch wiatru odrzucił na bok pasmo platynowych włosów i odsłonił znoszone szorty. Rye cicho westchnął. Wiedział, że powinien odwrócić się, pobiec do konia, odwiązać go i popędzić na łeb na szyję z powrotem na rancho, gdyż jeśli podejdzie i uklęknie obok Lisy, nie będzie w stanie powstrzymać się, by jej nie dotknąć. I wiedział też, że jeśli dotknie jej chociaż raz, to już nie zdoła się powstrzymać. Pożądał jej zbyt mocno, żeby ufać samemu sobie.

Więc powiedz jej, kim jesteś.

Nie! Nie chcę, żeby to tak szybko się skończyło.

Nigdy z nikim nie było mi tak dobrze. Jeśli zostaniemy kochankami, będę musiał powiedzieć jej prawdę i wszystko popsuję.

W takim razie nie dotykaj jej.

Ale już klęczał przy niej. Delikatnie wyjął szczotkę z rozluźnionych palców i zaczął czesać srebrzyste pukle, które gięły się pod jego dotknięciem, owijały wokół rąk, przywierały do palców, jakby prosząc o następne pieścizny. Uśmiechnął się i cesał Lisę powolnymi, delikatnymi ruchami, a potem zagłębił palce we włosy, uniósł je w górę i ukrył w nich twarz, wdychając głęboko zapach.

Lisa drgnęła i zaczęła powoli się budzić. Znowu śniła o Rye'u, tak jak działo się za każdym razem, kiedy spała. Otworzyła oczy i pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, były uda w obcisłych dzinsach i jej własne włosy w dłoniach Rye'a. Poczula, jakby każdy włos wiązał ich ze sobą, przyciągał jedno do drugiego. Powoli odwróciła głowę, aż mogła zobaczyć jego twarz, zanurzoną w jej włosach. Kontrast między ich jasnością a jego ciemną opalenizną był niezwykle wyraźny.

Rye popatrzył na nią i wtedy Lisa poczuła, że serce bije w jej piersi jak oszalałe. Spod ciemnych rzęs wyzierała namiętność, niepokój i pragnienie, które sprawiły, że coś eksplodowało głęboko w jej ciele, zbudziło gorączkę. Patrzyła mu prosto w oczy i zobaczyła coś, co dawniej tylko przeczuwała.

- Nie chciałem cię obudzić - powiedział Rye zdławionym głosem.

- Nie mam o to pretensji.

- Jesteś taka niewinna. Nie powinnaś pozwalać, żebym tak się do ciebie zbliżał. Za bardzo mi ufasz.

- Nie mogę nic na to poradzić - odpowiedziała cichym, ale pewnym głosem. - Urodziłam się po to, żeby należeć do ciebie. Wiedziałam o tym już w chwili, kiedy obejrzałam się i zobaczyłam ciebie siedzącego jak wojownik na czarnym koniu.

Nie mógł znieść tej szczerości i ufności w jej pięknych oczach. Spuścił wzrok.

- Nie - powiedział szorstko. - Przecież mnie nie znasz.

- Wiem, że jesteś wystarczająco silny, by móc mnie skrzywdzić, a przecież tego nie zrobiłeś. Zawsze postępowałeś ze mną bardzo ostrożnie; delikatniej i bardziej opiekuńczo niż większość mężczyzn w stosunku do swoich żon czy córek. Przy tobie czuję się bezpieczna. Wiem o tym, a także to, że jesteś

inteligentny i wybuchowy, wesoły i bardzo dumny.

- Jeżeli mężczyzna nie jest dumny, twardy i nie walczy, to świat po prostu zmiażdży go i rozetrze na pył.

- Tak, wiem o tym - odparła. - Tak się zdarza wszędzie, nieważne, czy w prymitywnej, czy cywilizowanej kulturze. - Popatrzyła na niego i dodała: - A czy wspominałam już, że jesteś także bardzo przystojny i nie masz ani jednego sztucznego zęba?

Musiał się roześmiać. Nie spotkał jeszcze nikogo takiego jak Lisa - ironicznego, wrażliwego, szczerego, z poczuciem humoru objawiającym we wszystkim, co powiedziała czy zrobiła.

- Jesteś jedyna w swoim rodzaju.

Uśmiechnęła się ze smutkiem. Wszędzie, gdzie tylko przebywała razem z rodzicami, była jedyna w swoim rodzaju. Zawsze była obserwatorką, nigdy nie stała się częścią pełnego kolorów, żywego, namiętnego widowiska, jakie tworzyło społeczeństwo. Myślała, że w Ameryce będzie inaczej, ale tak się nie stało. Jedynie w chwilach, kiedy Rye był przy niej, nie czuła się obco. A kiedy ją całował, narastała w niej radość życia i czuła się wówczas naprawdę szczęśliwa.

Nieśmiało powiodła czubkiem wskazującego palca wzdłuż jego pełnej dolnej wargi, ale Rye uchylił się przed tym dotknięciem, nie ufając swemu opanowaniu. Ręka opadła i Lisa odwróciła wzrok. Nie potrafiła ukryć zawodu i bólu.

- Przepraszam - powiedziała. - Kiedy obudziłam się i zobaczyłam ciebie z twarzą w moich włosach ... - Głos jej się załamał. Spojrzała przez ramię i posłała mu przepaszający uśmiech. - Chyba jestem zbyt niedoświadczona, by właściwie interpretować twoje zachowanie. Myślałam, że chcesz ...

Znowu zawiódł ją głos. Przełknęła z trudem ślinę i usiłowała odczytać coś, patrząc na Rye'a, lecz twarz miał nieprzeniknioną. Jedynie oczy świeciły pod wpływem podniecenia, które ze wszystkich sił starał się opanować. Ale ona o tym nie wiedziała, pamiętała tylko, że uchylił się przed jej dotknięciem. Odwróciła się, ale okazało się, że Rye'a wciąż trzyma w palcach jej włosy. Pociągnęła je delikatnie, spróbowała jeszcze raz - lekko, żeby niczego nie zauważył. Poczowała jednak, że jakaś nieuchwytna siła popychają ku temu mężczyźnie. Kiedy znów zwróciła się twarzą do niego, zobaczyła oczy, w których płonął ogień.

- Musimy porozmawiać, maleńka, ale nie teraz. Raz, chociaż raz w moim życiu chciałbym poczuć, że ktoś pragnie mnie jako mężczyznę. Po prostu jako mężczyznę o imieniu Rye.

- Nie rozumiem - wyszeptła, kiedy pochylał się do niej, przesłaniając sobą cały świat.

- Wiem. Ale to rozumiesz, prawda?

Wyrwał jej się cichy jęk, gdyż znowu poczuła słodką jedrność jego warg. Pieszczota wzmagała się powoli. Język Rye'a rozchyłał jej usta, które zwróciły się chciwie ku niemu.

- Rye ... - szepnęła tak cicho, że zabrzmiało to jak westchnienie.

- Tak? - wyszeptał równie cicho.

- Czy mógłbyś ... ?

Słowa zamarły, kiedy chwycił delikatnie zębami jej wargę.

- Jeszcze - szepnęła. - Proszę.

Nie tylko usłyszała, ale i poczuła, że on się śmieje. Otworzyła oczy i zobaczyła, że obserwuje ją z napięciem.

- Nie powinnam tak mówić? - spytała.

- Mów, co tylko chcesz - odparł szorstkim głosem. - Uwielbiam słuchać twego szeptu, czuć, jak szukasz moich ust, wiedzieć, że pragniesz mnie i tylko mnie.

Zatopiła palce w jego gęstych, miękkich włosach i przyciągnęła głowę Rye'a do siebie. Z takim samym zmysłowym ociąganiem, jak on przedtem, przesunęła końcem języka po linii jego ust, a potem delikatnie zacisnęła zęby na jego wardze. Poczowała, jak wstrząsnął nim dreszcz, i wtedy uśmiechnęła się, uwalniając go.

- Drżenie jest częścią tego, tak? - spytała cicho.

Zamknął oczy i liczył gwałtowne uderzenia swego serca. Myśl o kochaniu się z nią, tak szczerze zmysłową i tak zmysłowo szczerą, sprawiła, że o mało nie przestał panować nad sobą. Przecież była zupełnie niewinna i obawiał się przerazić ją, zanim zdołałaby się w pełni podniecić.

- Czy ... ? - Dotknęła palcem jego ust.

- Chcesz, żebym cię całował? - spytał, otwierając oczy.

- Tak - odparła cichym jak westchnienie głosem.

- Jak mam cię całować? O tak? - Musnął ustami jej wargi. - A może tak? - Mocniej dotknął ust dziewczyny. - Albo tak? - Obrysował ciepłym, wilgotnym językiem kontury jej warg i wsunął go do wnętrza, aż Lisa jęknęła cicho i rozchyliła wargi w oczekiwaniu głębszego pocałunku. - Tego właśnie chciałaś? - wyszeptał.

Zamarła, czując w ustach jego język. Zaczął poruszać nim powoli, w zmysłowym rytmie, który Lisa

bezwiednie zaczęła naśladować. To, co zaczęło się jak niewinny pocałunek, stało się zmysłowym dopełnieniem, za którym tęskniła. Przywarła do niego, zapominając o ostrożności, wiedząc tylko, że jest w jego ramionach i jest jeszcze wspanialej niż w marzeniach. Kiedy chciał oderwać się od niej, wydała w proteście jakiś nieartykułowany dźwięk.

- Cii ... - Uspokajał, przygryzając leciutko jej język. - Nie mam zamiaru nigdzie iść bez ciebie. Nie opuszczę cię ani na chwilę.

Podniósł się powoli, całując jej włosy, rozsypane teraz wokół głowy jak srebrno-złota chmura. Wpatrując się w jej oczy, położył się obok i zaczął obrysowywać linię jej kości policzkowych najpierw czubkiem palca, a następnie jego grzbietem. Schwyciła tę rękę i pocałowała, a potem zacisnęła zęby, niezbyt lekko, na pokrytej bliznami dłoni. Rye zaśmiał się cicho, jego oczy przybrały odcień przydymionego szkła i popatrzył na jej usta, a następnie na rysujące się pod bluzką piersi.

- Chcesz, żebym cię całował?

- Och, tak - odpowiedziała. - Bardzo chcę.

- Gdzie? Tutaj?

Uśmiechnęła się, kiedy znów dotknął palcem jej warg.

- Albo tutaj?

Zadrzała pod wpływem delikatnej pieścioty ucha.

- A może tutaj?

Palec głaskał jej gładką szyję, zatrzymując się w miejscu, gdzie puls bił szybko tuż pod delikatną skórą.

- A tu?

Palce pogładziły zagłębienie u nasady szyi, a potem powoli wsunęły się pod kołnierzyk bluzki. Żadna bielizna nie odgradzała ich od skóry Lisy, nic nie tłumilo podniecenia, kiedy palce Rye'a objęły jędrny wzniesienie piersi i chwyciły brodawkę. Krzyknęła zaskoczona i złapała go za rękę, jakby chciała, żeby zaprzestał tych tak intymnych pieściot.

- To znaczy, że tego nie chcesz? - spytał cicho, delikatnie pociągając za aksamitną brodawkę.

Przeszło ją tak silne doznanie, że nie mogła wydobyć słowa. Ciało wygięło się w łuk pod tym dotykiem, a ręce przycisnęły jego dłoń, jakby błagając o kontynuowanie tej pieścioty.

- O, tak - wyszeptał, pieściąc ją i słuchając cichego jęku, czując, jak pod wpływem jej rozkoszy jego własne ciało tężeje, jak krew zaczyna krążyć jeszcze szybciej. - Małeńka, powiedz mi tylko, czego pragniesz. Wszystko się spełni, co tylko będziesz w stanie sobie wyobrazić.

- Chcę ... - Głos Lisy załamał się, gdy Rye zaczął ścisnąć jej brodawkę między palcami i znów jej ciałem zawładnęła rozkosz. -Ja ... -Ponownie zawiódł ją głos.

Już nie próbowała mówić. Przytrzymała jego dłonie przy piersiach i przyciskała się do nich całym ciałem, prosząc w ten sposób o więcej. Ale on, uśmiechając się, odsunął ręce, przerywając pieściotę, która zabarwiła jej skórę rumieńcem.

- Rye?

- Tak?

Odpiął powoli pierwszy guzik, potem drugi i trzeci.

Przestraszyła się, kiedy zaczął rozsuwać poły na wpół rozpiętej bluzki, i chwyciła za jej brzegi.

- Nie chcesz, żebym cię dotykał?

- Ja ... ja nigdy ... Nie wiem.

- Ale twoje ciało wie. Popatrz.

Spojrzała na swoje piersi. Nabrzmiały wyraźnie i sterczały pod cienkim materiałem bluzki, błagając, by ich znów dotknął. Rye potarł lekko czubek jednej, potem drugiej i brodawki naprężyły się jeszcze bardziej, a uczucie gorąca przeszło Lisę na wskroś.

- Bez ubrania jest jeszcze lepiej - wyszeptał jej do ucha i uśmiechnął się, słysząc ciche westchnienie. - Chcę cię zobaczyć, małeńka. Nie dotknę cię, jeśli sama nie będziesz tego chciała. Dobrze?

Skinęła głową, wciąż mając ściśnięte gardło. W tej chwili nie obchodziło jej nic poza tym, żeby ten mężczyzna znów ją pieścił. Rye powoli zaczął rozsuwać ciągle nie rozpiętą do końca bluzkę. Materiał drażnił . twarde, sterczące brodawki. Lisa przymknęła oczy i zadrzała, kiedy poczuła na poróżnionych z podniecenia piersiach pierwszy dotyk ciepłych promieni słońca. Rye z trudem stłumił jęk, gdyż nagły przyływ pożądania był aż bolesny. Lisa była jeszcze piękniejsza niż przypuszczał, piękniejsza niż to wydawało się możliwe. Piersi miała gładkie i krągłe, z delikatną, perłową skórą.

- Rye? - odezwała się, widząc, że ukochany twarz ma ściągniętą, a jego ciało zeszywniało gwałtownie.

Odczuł pulsujące gorąco na dźwięk swojego imienia, wypowiedzianego głosem pełnym namiętności.

- Cały płonę - powiedział ochryplym głosem.

- A przecież ledwo cię dotknąłem. Jesteś taka niewinna. Ale ja nie. Ja pragnę cię tak bardzo, że

pożądanie rozdziera mi wnętrzności. Chcę cię rozebrać, chcę słyszeć, jak wołasz moje imię, kiedy będę dotykał cię tam, gdzie nikt nigdy jeszcze cię nie dotknął. Chcę całować każdy skrawek twojej skóry, obrysować językiem twoje kształty, poznać smak skóry wewnątrz twoich ud, dotykać cię tak, jak mężczyzna dotyka kobiety. Ale ty przecież jesteś tak cholernie niewinna. Doznasz wstrząsu, jeżeli nawet tylko pocałuję czubek twojej piersi.

Próbowała coś powiedzieć, lecz znów nie mogła wykrztusić słowa.

- Czy rozumiałaś, o czym mówię? - zapytał szorstko. - Nie skończy się na jeszcze paru gorących pocałunkach. Nie zadowolę się tym. Chcę leżeć z tobą nagi i dotykać cię w taki sposób, o jakim ci się nie śniło, aż zapomnisz o całym świecie. A potem wezmę cię i przez chwilę nie będzie ciebie, nie będzie mnie, tylko my, spleceni w takiej rozkoszy, dla której ludzie gotowi są zabijać lub umierać. Rozumiesz to? Jeżeli dotknę cię jeszcze raz w podobny sposób, to nie opuścisz tej łąki jako dziewica.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

Chciała coś powiedzieć, ale oblizwała tylko wargi i próbowała zebrać myśli. Kiedy ją całował, nie zastanawiała się nad niczym. A powinna była pomyśleć wcześniej - była niedoświadczona, ale przecież nie głupia.

- Prze... przepraszam - odezwała się bezradnie, nienawidząc siebie samej za to, że zadała mu ból. - Nie myślałam o tym, co t y czujesz. Nie chciałam sprawić ci bólu.

Zaklął i usiadł gwałtownie, widząc, jak bardzo się tym przejęła. Zamknął oczy, bo gdyby patrzył na nią dłużej, znów zacząłby ją całować i mógłby uwieść ją, zanim by się zorientowała. Nagle poczuł na dłoni ciepły oddech, a za moment usta dziewczyny dotknęły jego skóry i wyszeptały słowa przeprosin. Czuł, że Lisa cała drży i wiedział, że powodem jest nie tylko namiętność, ale także strach i poczucie winy. Ta świadomość uspokoiła płonący w nim ogień, który już wymykał się spod kontroli.

- To nie twoja wina - wyszeptał, przyciągając ją łagodnie do siebie i głaszcząc delikatnie. - To przeze mnie. Ja przecież wiedziałem, dokąd to wszystko prowadzi. - Uśmiechnął się. - Ale nie zdawałem sobie sprawy, że można pragnąć kogoś tak bardzo, jak ja pragnę ciebie. To mnie zupełnie zaskoczyło. - Musnął ustami jej policzek i poczuł słony smak łez. - Nie płacz, dziecko. Wszystko w porządku. Teraz już będę ostrożny, nic mnie nie zaskoczy i nie zrobię niczego, czego nie będziesz chciała. Mogę całować cię, ile razy zechcesz, gdzie tylko zechcesz. Nie bój się, nie będę do niczego cię zmuszał. Wiesz o tym, prawda?

Uspokajała się pod wpływem tych słów, ale jeszcze bardziej pod wpływem delikatnych, czułych pocałunków w czoło, policzki, czubek nosa, kąciki ust. W końcu westchnęła głęboko i oparła się wygodnie o jego pierś. Wtulił twarz w jej jasne, jedwabiste włosy i wdychał ich zapach.

- Liso - wyszeptał po chwili.

Zobaczyła, że patrzy na jej pierś, wyzierającą spomiędzy fałd jasnoblękitnej bluzki.

- Czy ufasz mi na tyle, że pozwolisz mi się znów dotknąć?

- Tak! Nie. Och, Rye, wierzę ci, ale nie chcę, żeby dla ciebie to stało się nie do zniesienia. Nie jest w porządku, że cierpisz, kiedy ja czuję się tak wspaniale.

- Nie martw się o mnie - powiedział, gładząc ją po nodze, przesuwając dłoń coraz wyżej, poprzez biodro aż do talii. - Już dobrze, dziecko. Oboje będziemy czuli się wspaniale. Chyba że tego nie chcesz? - Dłoń znieruchomiła w oczekiwaniu pod jej pierś.

- Tego? - powtórzyła nerwowo, rozdarta pomiędzy obawą i pożądaniem, które przepalało ją na wylot. - Moich rąk, a potem ust. O, tutaj. Pieszczących cię, kochających cię.

Pochylił się i niemal dotknął ustami rubinowego czubka nabrzmiałej piersi. Ale zamiast całować go, dmuchnął tylko, jakby zdmuchiwał świeczki na urodzinowym torcie. Lisa chciała się roześmiać, ale wydała jedynie zdławiony okrzyk, kiedy ciepłe palce ujęły jej pierś. Rye wciąż jednak nie zwracał uwagi na sterczącą brodawkę, jakby nie domyślał się, że rozpaczliwie pragnie jego pieszczot.

Nie zastanawiając się, wygięła ciało, starając się zbliżyć do jego ust. Świat zawirował, kiedy Rye uniósł ją, obrócił i położył z powrotem na kocu. Odgarnął jej włosy i chwycił je lewą ręką. Poczuli, jak jego palce gładzą jej głowę i okazało się to tak niespodziewanie zmysłową pieszczotą, że zaczęła ocierać się o jego rękę jak kot. Jednocześnie mocniej wygięła plecy, odsłaniając całkiem piersi, których brodawki sterczały

teraz jeszcze bardziej.

- O tak, maleńka - wyszeptał, przyciskając ją mocniej, zmuszając, by wyciągnęła się bardziej w stronę jego ust. Powoli pochylił się, ale jeszcze nie dotknął jej ciała. - Wyżej. Zobaczysz, że tak będzie przyjemniej ... dla ciebie i dla mnie.

Lisa wreszcie zbliżyła piersi do jego warg. Tyle że to nie wargi dotknęły jej stwardniałych brodawek, a ciepły, wilgotny czubek języka. Ta nieoczekiwana pieszczota sprawiła, że dziewczyna wyprężyła się jak naciągnięta cięciwa. Ręka Rye'a otoczyła jej plecy i przytrzymała, podczas gdy jego usta powoli zamknęły się na jej piersi, najpierw całując delikatnie twarde czubek, apotem aksamitną otoczkę. Język obrysował kształt brodawki, jakby chciał utrwalić ją w pamięci, zaś zęby zacisnęły się na niej z delikatną zmysłowością, aż Lisa zaczęła wic się z rozkoszy. Wbiła palce w jego szerokie ramiona i zawołała jego imię, kiedy usta Rye'a wciąż pieściły pierś i rozpałały ogień w jej ciele. Odwrócił głowę i zajął się drugą pierśią dziewczyny, najpierw drażniąc brodawkę zębami przez materiał bluzki, aż wyprostowała się gwałtownie. Potem zęby Rye'a zamknęły się na niej bardzo delikatnie, chociaż wstrząsały nim dreszcze pożądania. Fala rozkoszy przebiegła przez ciało Lisy i dziewczyna nawet nie zauważyła, że Rye do końca rozpiął jej bluzkę i odsłonił nagą skórę. Czula jedynie jego pieszczoty i gorączkę, która w niej narastała. Potem Rye splótł jej palce ze swoimi i ułożył jej ręce wysoko nad głową, a ona znów wygięła się i wypięła nabrzmiałe piersi, domagające się pieszczot.

- Nie przestawaj - jęknęła, usiłując złagodzić pulsowanie w czubkach piersi ocieraniem się tors Rye'a. - Proszę, nie przestawaj.

Jego usta stłumiły te błagania. Lisa gwałtownie oddała mu pocałunek i przywarła do niego, jakby chciała w ten sposób uspokoić drżenie ciała. Rye mocno przyciskał jej usta, uspokajał nerwowe ruchy, powoli przekształcając je w rytmiczny akt miłości. Nie sprzeciwiała się, chciała tego tak bardzo jak on. Nigdy niczego w życiu nie pragnęła tak gwałtownie. Poczula, że rozsuwa jej nogi ocierając się o nią i aż krzyknęła, przestraszona wrażeniem, jakie nagle poczuła.

- Rye!

- Spokojnie, maleńka, spokojnie - powiedział, sam walcząc z pulsującą w żyłach, domagającą się zaspokojenia namiętnością. Położył się na boku, pociągając Lisę za sobą. Przez chwilę uspokajał ją i zarazem siebie słowami i delikatną pieszczotą.

- Przytul się do mnie. Nie ma pośpiechu. Jesteśmy tylko my dwoje i mamy czas do końca świata, żeby się sobą nacieszyć.

Przyłgnęła do niego, a on głaskał ją delikatnie i czule, mówiąc cichym głosem, pomimo pożądania powracającego na widok jej piersi unoszonych szybkim oddechem. Po kilku minutach powoli rozpiął koszulę i poczuł dotknięcie twardych brodawek na swojej piersi. Kontrast między jej gładką skórą a własnymi, stwardniałymi od pracy mięśniami sprawił, że pożądanie stało się niemal nie do wytrzymania. Starał się je stłumić, wiedząc, że niezależnie od tego, czy Lisa stanie się dziś jego kochanką, czy też ograniczą się do pocałunków, zasługuje ona na coś lepszego niż pospieszne i krótkie pieszczoty mężczyzny dążącego do szybkiego zaspokojenia.

- Za każdym razem, kiedy na ciebie patrzę wydajesz mi się jeszcze piękniejsza - powiedział jej na ucho, a potem ukąsił je, najpierw delikatnie, następnie nieco mocniej, i cieszył się, czując, że Lisa nie wyrywa się, a przeciwnie, poddaje się tym pieszczotom. Delikatnie przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie. - Czy tobie też sprawia to taką przyjemność?

Roześmiała się, nie czując już obawy przed tymi niespodziewanymi doznaniem. Teraz była raczej zaciekawiona i pragnęła znów poczuć coś takiego jak przed chwilą.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

Mówiąc to, poruszała się pod dotykiem jego rąk, rozkoszując się dreszczem, zaczynającym się w czubkach piersi i rozchodzącym po całym ciele.

- Czy chciałbyś ... - przerwała, kiedy kolano Rye'a wsunęło się między jej nogi i rozsunęło je. Ciepłe, ciężkie udo posuwało się do góry, a potem zaczęło uciskać ją kołyszącym, powolnym ruchem, wywołując gorące fale, promieniujące na całe ciało. Znow wydała lekki okrzyk zaskoczenia i spojrzała z lękiem na Rye'a. To wrażenie nie było już tak silne, ale wciąż dawało jakąś trudną do wytrzymania rozkosz.

- Czy chciałbym? - powtórzył, poruszając się powoli między jej udami, przyzwyczajając ją do takich pieszczot.

- Czy ... chcesz, żebym cię dotykała? - spytała niepewnym głosem.

- Tak. - Pochylił się i całował ją bez pośpiechu. - A chcesz mnie dotknąć?

- Tak, ale ...

- Ale?

- Nie wiem, w jaki sposób - wyznała, zagryzając usta. - Chcę, żeby ci było dobrze, tak samo jak

mnie.

Zamknął oczy porwany pragnieniem pociągnięcia jej rąk w dół swojego ciała, tam, gdzie pożądanie pulsowało boleśnie.

- Jeżeli będzie mi choćby odrobinę lepiej - powiedział prawie szorstko - to zaraz potem będzie po wszystkim. - Uśmiechnął się do niej. - Dotykaj mnie, gdzie chcesz. Wszędzie. Rób, co tylko ci się spodoba. Potrzebuję tego, maleńka. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Uniosła drżące ręce do jego twarzy. Powiodła palcem po ciemnych łukach brwi, linii nosa, brzegach uszu, a następnie zaczęła dotykać tych miejsc ustami. Z kocią delikatnością przesunęła końcem języka po krzywiznach ucha, aż poczuła wstrząsający Rye'em dreszcz.

- To ci się spodobało - szepnęła.

- Nie jestem pewien - odparł. - Może to był przypadek. Musisz spróbować jeszcze raz.

Popatrzyła zaskoczona, ale zaraz się roześmiała.

- Droczyś się ze mną.

- Nie, maleńka. To ty się ze mną droczysz.

Zamruczał cicho, kiedy chwyciła zębami za koniec ucha w sposób, jakiego się od niego nauczyła.

- Mam przestać się droczyć? - spytała, śmiejąc się cicho.

- zapytaj mnie jeszcze raz za godzinę.

- Za godzinę? To można tak długo wytrzymać, czując to, co ja teraz?

- Nie wiem - przyznał. - Ale warto nawet oddać życie, żeby się przekonać.

Nie odpowiedziała, zaintrygowana nagle różnicą w dotyku, jaką sprawiała jego szorstka broda i delikatne ucho .. Rye lekko przechylił głowę, żeby łatwiej mogła sięgnąć ustami, gdzie tylko chciała. Natknęła się na przeszkodę w postaci jego koszuli, więc odsunął się na chwilę, zrzucił ją z ramion i cisnął za siebie. Jednak kiedy spojrzał na Lisę, przestraszył się, że popełnił błąd. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby nigdy nie widziała nagiego do pasa mężczyzny.

- Mam ją włożyć z powrotem? - spytał spokojnie.

- Co takiego? - Lisa jakby otrząsnęła się i próbowała wrócić do rzeczywistości.

- Tę koszulę. Czy mam ją włożyć z powrotem?

- Zimno ci?

- Ani odrobinę. Tyle że wyglądałaś, jakbyś była ... zaskoczona, kiedy ją zdjąłem.

- Przypomniało mi się, jak skończyłaś rąbać drzewo i poszedłeś się umyć w strumieniu. Oplukałeś piersi i ramiona, a potem wyprostowałeś się i krople wody błyszczały w słońcu jak brylanty. Miałam ochotę zlizać je z twojej skóry. Czy to by ci się spodobało?

Chwycił ją w ramiona i znów zaczął całować, jednocześnie wstrząśnięty i podniecony tym, co właśnie powiedziała. Po chwili jednak musiał ją uwolnić, ponieważ zdał sobie sprawę, że traci samokontrolę. Położył się na kocu i założył ręce za głowę, żeby nie dotykać różowo zakończonych piersi, które tak kusząco wyglądały spod rozpiętej bluzki.

- Czy masz dobrą pamięć? - spytał.

- Chyba tak.

- W takim razie zamknij oczy i spróbuj przypomnieć sobie wszystkie krople, które widziałaś. Jesteś w stanie to zrobić?

- O, tak - odparła, uśmiechając się.

- A teraz zrób to, co chciałaś z nimi zrobić.

Patrzyła, jak leży wyciągnięty przed nią, z uśmiechem jednocześnie wesołym i zmysłowym, który sprawiał, że traciła oddech. Drżąc, pochyliła się nad nim.

- Jedna była tutaj - powiedziała, całując nasadę

szyi. - I tu ... i tu - mówiła dalej, przesuwając wargami wzdłuż obojczyka, do środka piersi. - A tędy spływała cienka strużka.

Rye zamknął oczy i czuł tylko to, że czubek jej języka przesuwają się w dół, rozgarniając przy tym jego gęste włosy i liżąc gorącą skórę.

- Te krople płynęły w dół, aż za pasek od spodni - powiedziała, wahając się, z pytaniem w głosie.

- Dobry Boże, mam nadzieję ...

Dotykała językiem żeber, spróbowała zębami sprężystości mięśni. Zatrzymała się przy klamrze paska, a Rye'a kusiło, żeby powiedzieć jej, że woda spływała pod ubraniem aż do jego stóp. Zaczął oddychać szybciej, kiedy całowała i skubała zębami skórę na jego brzuchu. Splótł razem palce obu rąk, żeby powstrzymać się od przyciągnięcia jej do siebie, a ona tymczasem podążała w górę, zatrzymując się jedynie na chwilę przy sutkach ukrytych w gęstwinie czarnych włosów. Kiedy już znalazła się z powrotem przy jego szyi, mruknął z niezadowolaniem.

- Opuściłaś kilka kropli.

- Naprawdę? Gdzie? Może tutaj? - spytała, dotykając językiem wgłębienia przy obojczyku.
- Niżej.
- Tu? - Wargami pociągnęła delikatnie ze kędzierzawe włoski na środku klatki piersiowej.
- Już prawie. Teraz na prawo.
- Jesteś tego pewny?
- Wszystko jedno, kochanie. Tak czy owak je znajdziesz.
- Zrozumiała nagle i zaśmiała się cicho.
- Oczywiście, jak mogłam zapomnieć.

Odszukała płaski sutek i zaczęła drażnić go zębami i językiem, tak jak robił to Rye z jej piersiami. Potem palce jej błądziły po jego piersi, dotykały szorstkich włosów i twardych mięśni, pocierały, głaskały, rozkoszowały się jego ciepłem. Ustami wciąż drażniła twarde, małe punkciki jego sutków. Nie mógł już dłużej trzymać rąk z dala od niej, więc pociągnął ją na siebie, aż na nim usiadła. Zsunął jej bluzkę z ramion, zanim zdążyła wypowiedzieć choć słowo. Czubeczki jej piersi stwardniały pod wpływem jego wzroku, domagając się pieśczoły równie mocno, jak on pragnął ich dotknąć.

- Rye ... ?
- Chodź tu bliżej, maleńka - wyszeptał.

Pochyliła się powoli, żeby mógł sięgnąć do jej piersi.

Wzdrygnęła się pod wpływem przeszywającej rozkoszy, jaką sprawił dotyk ciepłych, zręcznych palców. Nie potrafiła powstrzymać cichego krzyku, tak jak nie była w stanie zatrzymać gorąca, które rozlało się po jej ciele. Rye podciągnął ją wyżej i poczuła język drażniący brodawkę jej piersi. Z jękiem wyciągnęła się jak struna, ulegając tym pieśczołom.

Jego ręce objęły ją w talii, przesuwały się po pośladkach, ocierały o uda, błądziły tam i z powrotem kołyszącym ruchem, który sprawiał, że Lisa cała drżała. Wsunął kciuki pod dolny brzeg szortów i gładził jej gładkie ciało.

- Rye - odezwała się, gdy palce powędrowały dalej.
- Co? - wyszeptał, unosząc głowę do drugiej piersi.
- Czuję się ... kręci mi się w głowie.
- Mnie też.
- Naprawdę?
- No pewnie. Nie ustałbym teraz na nogach.
- Myślałam, że to tylko ja ... - Zaśmiała się trochę uspokojona.
- Oczywiście, że to ty. W twoim ciele jest dość żaru, żeby stopić górę lodową.
- Czy to ... dobrze?

- Nie - odpowiedział szeptem. - O niebo lepiej niż dobrze. To jest niewiarygodne i piekielnie podniecające. Tęskniłem za tobą przez całe życie i nawet o tym nie wiedziałem.

Jego śmiech przeszedł w westchnienie pod wpływem zmysłowej pieśczoły, jaką było delikatne ssanie i pociąganie za pierś. Nagle jego ręka powędrowała między nogi i Lisa zamarła zaskoczona.

- To też należy do tego - powiedział, nie przerywając pieśczoły i uważnie obserwując jej twarz.
- T e g o? - wyjąkała.

■ nagle wszystkie myśli rozsypały się na tysiąc migocących odłamków rozkoszy, jaką dawały ruchy jego ręki. Poruszała się bezradnie, obsypując go kaskadą lśniących włosów.

- Czujesz to? - wyszeptał cicho. - Tu rodzi się ta gorączka. Jesteś taka słodka i piękna ... tak piękna.

Lisa dygotała w jego objęciach, a jej ciało odpowiadało na każdą pieśczołę. Rye rozpiął jej dzinsy, a następnie odsunął zamek błyskawiczny. Leżała na nim, cała drżąca, nie mówiąc nic, kiedy zsuwał z niej wszystko, obnażając ciało, i patrzyła w płonące gorączkowym blaskiem oczy mężczyzny. Przytrzymał ją nagą na sobie i uspokajał delikatnym głaskaniem, jednocześnie usiłując uspokoić samego siebie.

- Rye?
- Cii, dziecinko. Wszystko w porządku. Nie zrobię nic, czego nie będziesz chciała.
- Westchnęła i powoli się odprężyła.
- Tak - wyszeptał. - Po prostu ciesz się słońcem i pozwól mi trochę nacieszyć się sobą.

Już po chwili przestała czuć się nieswojo z powodu swojej nagości. Westchnęła i przeciągnęła się zmysłowo, a potem spróbowała pieścić go tak, jak on to robił. Kiedy jednak przesunęła ręce niżej, natrafiła na dzinsy, które uzmysłowiły jej, że w przeciwieństwie do niej, on nie jest całkiem nagi.

- To nie w porządku - szepnęła.
- Wytrzymam to jakoś - odpowiedział, źle zro-

zumiawszy jej słowa.

- Ja mówię o twoich dzinsach.

- A co z nimi?

- Przeszkadzają mi.

Nastąpiła pełna napięcia cisza.

- Łatwo cię zaszokować? - przerwał milczenie Rye.

- Raczej nie.

- Jesteś tego pewna?

- Tak - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

- Zupełnie pewna.

- Ja nie żądam tego od ciebie - powiedział.

- Wiem. Ja chcę ...

- Ale? - spytał w napięciu.

- Nie wiem, jak to zrobić. Chcę, żeby ci było dobrze. Tak bardzo tego chcę.

Przyciskając ją jeszcze mocniej, odwrócił się na bok i pocałował czule dziewczynę.

- Jest mi bardzo dobrze - powiedział zdławionym głosem.

Najpierw całował ją delikatnie, lekko, ale po chwili znów zatracili się w gwałtownych pieszczotach. Rye niechętnie oderwał się od niej i wstał. Zdjął buty i skarpetki, rozpiął pasek i spojrzał na Lisę. Leżała na boku, włosy miała w nieładzie, przez ich pasma prześwitywały różowe sutki, perłowa skóra bioder i kępka o wiele krótszych, kędzierzawych włosów.

- Jeszcze możesz zmienić zdanie - powiedział, zastanawiając się równocześnie, czy mówi to szczerze.

Lisa uśmiechnęła się tylko.

Rozpiął suwak i wciąż ją obserwując, zsunął spodnie razem z bielizną. Kopnięciem odrzucił je na bok i stał wstrzymując oddech, modląc się, żeby okazała się rzeczywiście tak dzielna, jak obiecywała" ponieważ jeszcze nigdy w życiu nie był tak podniecony. Pragnął, żeby jej to wszystko sprawiało równie wielką rozkosz jak jemu, ale przecież była taka niedoświadczona i sądził, że się wystraszy.

Oczy jej rozszerzyły się i wyglądały jak dwa ametystowe jeziora w pobladłej twarzy. Odwrócił się, sięgając po swoje dopiero co odrzucone rzeczy.

- Nie! - zawołała, zrywając się na kolana, otoczona chmurą platynowych włosów. Objęła ramionami jego nogi i przycisnęła do nich twarz. - Wcale się nie boję. Naprawdę. Widywałam mężczyzn którzy prawie nic na sobie nie mieli, ale nie ... Nie ... To mnie po prostu zaskoczyło.

Zadrżał, czując jej włosy jak dotyk jedwabiu na rozpalonym ciele.

- To? - spytał. - Lubisz używać tego słowa, prawda?

Spojrzała w górę i zobaczyła, że w jego oczach błyszczą ledwie powstrzymaną namietnością skrzęta tam iskierki humoru. Wiedziała, że nie powinna się niczego obawiać - nieważne jak bardzo Rye jest silny i jak wielkie czuje pożądanie, ale na pewno jej nie skrzywdzi.

- Dziecinko - wyszeptał osuwając się na kolana, gdyż nie mógł ustać ani chwili dłużej - chyba zaraz umrę, ale nie mogę się tego doczekać.

Palce przeniknęły przez miękką zasłonę jej włosów, objęły, przyciągnęły dziewczynę bliżej.

Wstrzymała oddech, czując, jak dłonie Rye'a gładzą powierzchnię jej ud w dół i w górę, za każdym razem wślizgując się głębiej między nogi, rozsuwając je odrobinę szerzej. Powstrzymała jęk, kiedy jego ręka powędrowała w dół jej brzucha i znalazła miejsce, gdzie skóra była wilgotna i nie wyobraźalnie miękka. Zamknęła oczy i kołysała się pod wpływem tej pieszczoty.

- Załóż mi ręce na szyję - wyszeptał.

Zrobiła to, wciąż z zamkniętymi oczami, ponieważ stał się jedyną prawdziwą, namacalną rzeczą w świecie, który wirował coraz szybciej i szybciej przy każdym dotknięciu wślizgujących się w nią palców. Nie czuła onieśmielenia ani wstydu z powodu tak intymnej pieszczoty, ponieważ powstający w niej żar spalał wszystko, zostawiając tylko nieodparte pożądanie.

- Właśnie tak, maleńka. Trzymaj się mocno i chodź ze mną. Zaufaj mi, ja wiem, dokąd dojdziemy.

Znalazł najbardziej wrażliwe miejsce i pieścił je kolistymi ruchami. Jęczała, czując, jak gorące, migotliwe fale zagarniają jej ciało, ale nie mogła już dłużej wytrzymać i przepelniła ją rozkosz.

- Tak - powiedział, delikatnie kładąc jej ręce na szyję, na tyle jednak mocno, że zostały drobne znaki. - Jeszcze raz, kochanie, jeszcze. Tak będzie łatwiej dla ciebie, dla mnie, dla nas obojga. O, tak.

Lisa ledwo słyszała te słowa. Poczuła, że unoszą ją jego ramiona i znów układają delikatnie na kocu. Położył się razem z nią, ale teraz już jej nie dotykał. Otworzyła oczy i zaczęła niespokojnie, gorączkowo poruszać głową.

- Rye?

- Jestem tutaj. Czy chcesz tego?

- Tak - wyszeptła i sięgnęła ręką w dół, żeby dotknąć go tak, jak on jej dotykał przed chwilą.

Rye zamknął oczy pod wpływem nagłego dreszczu, który przeszył całe jego ciało. Dotyk jej małej ręki był bardziej podniecający niż wydawało mu się to możliwe.

- Maleńka - szepnęła - pozwól...

Zaczął całować ją, przekazując jej całą namiętność, która zdawała się palić go żywcem. Kiedy jej usta odpowiedziały na jego pocałunek, wszedł w nią powoli, aż napotkał delikatny opór.

- Rye - odezwała się. - Rye!

Powoli unosząc biodra wsunął rękę między ich ciała i zaczął ją pieścić kołyszącym ruchem. Lisa jęknęła, czując, jakby z jego dłoni żar rozprzestrzenił się po jej całym ciele. On tymczasem wchodził w nią powoli, poruszał się delikatnie, pieścił ją ręką i ciałem, aż rozkosz spłynęła na nią rytmicznymi falami, rozkosz tak wielka, niemal niszcząca, że w zapamiętaniu raz po raz wołała jego imię. Chciała powiedzieć, że nie zniesie już tego dłużej, a on wciąż pieścił ją, kołysał się w niej głęboko. W końcu też zamarł w bezruchu, w niewyobrażalnej rozkoszy bycia w niej, całkowicie nią otulony.

- Lisa - wyszeptał. - Maleńka!

Powoli otworzyła nic nie widzące, jakby oślepienie oczy.

- Myślałam ... myślałam, że to będzie bolało - wyznała.

- Bo tak było. Ale tego nie czułaś, rozkosz przytłumiła cały ból. Czy boli teraz?

Poruszył się wolno, a z jej list wyrwał się jakiś urywany dźwięk, coś, co miało być jego imieniem.

- Jeszcze - powiedziała łamiącym się głosem.

-Och, Rye, jeszcze.-Popatrzyła w jego oczy. -A może tobie nie było tak dobrze?

- Dobrze? -Jego Ciałem wstrząsnął dreszcz, kiedy znów zatopił się w niej głęboko. - Na to nie ma ... nie ma słów. Chodź ze mną, maleńka, pójdziemy tam, gdzie już raz byłaś.

Nigdy nie odczuwał czegokolwiek, co można było porównać z aksamitną gładkością jej ciała, nigdy nie współuczestniczył w niczym nawet w połowie tak fascynującym, nie przypuszczał, że jest zdolny dotrzeć do tak silnych przeżyć. Poruszał się w niej powoli, przeżywając jednocześnie coś strasznego i wspaniałego, chciał, żeby to się nigdy nie skończyło i wiedział, że jeżeli nie skończy się zaraz, to on zginie od tej słodkiej męki. Okrzyki Lisy przebijały się przez gęstniejącą ciemność, oznajmiały, że ona jest już po drugiej stronie, że wzywa go do siebie. Chciał podążyć za nią i chciał jeszcze zostać tu, chciał, żeby ta gorączka jeszcze bardziej się wzmożła. Otaczała go ciemność, a w niej wirowały kolorowe płatki, tętniły tysiące małych pulsów, naciskały, domagały się ... Z urywanym krzykiem wbijał się w nią, aż nie mógł już pójść głębiej i nagle musiał się poddać sile, która zerwała wszelkie tamy, której nie sposób było zatrzymać.

Jego ostatnią myślą było, że skłamał mówiąc, iż wie, dokąd się udają. Lisa zaprowadziła go tam, gdzie jeszcze nigdy nie był, owijając go aksamitną gładkością swego ciała, spalając go, zabijając, wypalając aż do samej duszy złączonej z jej duszą w ekstazie, która była jednocześnie śmiercią i zmartwychwstaniem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lisa westchnęła i ostrożnie spruła cienki szew, nad którym spędziła minioną godzinę. Myślami była przy Rye'u, zamiast uważać na to, co robi, i w rezultacie ostatni kawałek zszyła za ciasno, marszcząc delikatny materiał. Wygładziła go palcami, sfastrygowała starannie i zszyła jeszcze raz. Chciała, żeby ta koszula była wykończona równie dokładnie jak poprzednia - żadnej niedoróbki, czy na zewnątrz, czy w środku.

Będzie musiała teraz spędzać jeszcze więcej czasu przy szyciu, ale nie miało to dla niej znaczenia. Na Łące McCalla czas przecież nie istniał, liczył się tylko upojny zapach lata, spływający ze szczytów gór jak wieczorna mgła. Gdyby nie musiała co siedem dni fotografować przyrostu traw, nie miałaby w ogóle pojęcia o upływie czasu. Lato było długim, słodkim interludium, a jedyne ważne wydarzenia to przyjazdy Rye'a.

Trawy przypomniały jej o tym, że powinna sprawdzić swój prowizoryczny kalendarz. Spojrzała na parapet jedyne w chacie okna. Leżał na nim rząd sześciu kamieni, co oznaczało, że dzisiaj jest siódmy dzień i pora na ponowne zrobienie zdjęć. Słońce zaglądało przez szybę i Lisa uzmysłowiła sobie, że minęło już południe i jeżeli się nie pośpieszy, to Rye może zjawić się i zastać ją nad tą

koszulą. Zależało jej, żeby tak się nie stało, pragnęła bowiem zrobić mu niespodziankę.

Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak Rye się ucieszy.

Na pewno ulgę sprawi mu to, że będzie mógł w końcu zaprosić ją na tę zabawę na rancho. W ciągu minionych tygodni wiele razy już zaczynał coś mówić i rezygnował, jakby nie był pewien, czy powinien to zrobić. Przy ostatniej okazji, kiedy najwyraźniej zabrakło mu słów, już miała sama oznajmić, że dla niej nie liczy się ubiór, chodzi jej tylko o to, żeby być z nim, ale przeszkodziły jej w tym jego głodne usta i po chwili nie pamiętała już o całym świecie.

Przypomnienie chwil, kiedy się kochali, sprawiło, że zaczęły trząść się jej ręce i upuściła igłę. Zdecydowała, że lepiej będzie, jeżeli natychmiast przerwie szycie, gdyż mogłaby się jeszcze ukłuć w palec i poplamzić krwią jasny materiał.

Z zamyślenia wyrwało ją parsknięcie konia. Zerwała się i wyrzła przez okno, ale okazało się, że to dwaj jeźdźcy nadjeżdżają od strony starej drogi. Wiedziała, że żadnym z nich nie może być Rye. On zawsze zjawiał się sam i choćby długo był na łące, nikt inny wtedy się nie pokazywał. Mimo woli zaczęła się zastanawiać, dlaczego tak było. Lassiter zazwyczaj przyjeżdżał z Jimem. Czasami Blaine i Shorty czy inny z kowbojów wpadali, przywożąc filmy do aparatu lub żywność, i z nadzieją spoglądali w stronę ogniska. Zatrzymywali się tylko tak długo, żeby zjeść, sprawdzić, czy Lisa czegoś nie potrzebuje, a potem uchylali kapeluszy i odjeżdżali, jakby wiedząc, że gdzieś w pobliżu Rye czeka niecierpliwie, żeby wreszcie zniknęli.

A ona niecierpliwie czekała, żeby wreszcie się pojawił.

- Halo, Liso! Jest pani w środku? - rozległ się głos Lassitera.

- Już wychodzę - zawołała, wrzucając w pośpiechu szycie na górną półkę w szafce.

- Czy mamy podrzucić trochę drewna do ognia?

- Będę wdzięczna, bo jeszcze nie jadłam obiadu. A wy?

- Jeśli chodzi o pani chleb, to zawsze jesteśmy głodni - odezwał się Jim.

Lisa wyszła z chatki i zatrzymała się niepewnie, widząc spojrzenia obu mężczyzn.

- Czy coś jest nie tak? - spytała. Lassiter uniósł kapelusz jak w ukłonie.

- Nie chcieliśmy się tak nachalnie gapić, ale zawsze nosi pani warkocze, a dzisiaj pani włosy są rozpuszczone i takie lśniące. Niech mnie, to jest naprawdę coś. Ewa musiała tak wyglądać tego dnia, kiedy ją Pan Bóg stworzył.

Lisa zarumieniała się, zaskoczona takimi komplementami i automatycznie podniosła ręce, splótła włosy w gruby warkocz, który upięła następnie za pomocą drewnianych szpilek.

- Dlaczego pani to chowa przed nami? - spytał Lassiter.

- Muszę, jeżeli chcę coś zrobić przy ognisku.

- Punkt dla pani - odparł mężczyzna, wyraźnie zawiedziony.

- Amen - dodał Jim. - Długie włosy rzeczywiście są niebezpieczne przy ognisku. Boss Mac nie darowałby nam, gdyby coś pani się stało.

- Boss Mac? - Lisa stanęła jak wryta.

Lassiter przeszył Jima karcącym spojrzeniem, a potem zwrócił się do niej:

- Boss Mac bardzo dba o zdrowie ludzi, którzy u niego pracują. Poleciał nam, żebyśmy zwracali na panią uwagę, bo jest pani tu sama i w ogóle.

- Och. - Zamrugała powiekami, wciąż zaskoczona. - To nie jest potrzebne, ale cieszę się, że wasz szef się o mnie troszczy.

- Przepraszam, ale to jest potrzebne. I wszyscy kowboje wzięli sobie jego słowa do serca, a szczególnie Rye. Och, ten to ostatnio chyba codziennie tu zagląda.

Lisa znów zarumieniała się i spuściła wzrok, przez co nie zauważyła spojrzenia, jakim Lassiter obrzucił ją.

- Podejrzewamy z chłopcami, że pewnie się w pani zakochał - kontynuował nie zrażony Jim. - To byłby prawdziwy cud, bo on jest takim samotnikiem i w ogóle. Założę się, że ...

- Chyba mówiłeś, że jesteś bardzo głodny - przerwał Lassiter.

- ... zobaczymy panią na tańcach, co? - dokończył Jim, uśmiechając się szeroko.

Lisa wyczuła, że sobie z niej żartuje, tylko nie bardzo wiedziała, na czym ma ten żart polegać.

- Nie sądzę, żeby Rye miał zamiar mnie zaprosić - powiedziała, zmuszając się do uśmiechu i podchodząc do ogniska. - Przecież dobrze wiecie, że on jest samotnikiem. A przy okazji, nie każdy ma pieniądze, żeby sobie kupić nowe ubranie na zabawę.

- O czym pani mówi? Boss Mac ma dość pieniędzy ... au, Lassiter, to, po czym depczesz, to jest moja noga.

- Naprawdę? Myślałam, że ty nie masz nic poza swoją wielką gębą - zasyczał Lassiter.

- Co to ma znaczyć, u diabła? - Nagle na twarzy Jima pojawił się błysk zrozumienia. - Och, no

dobra. Ale co to za żart, jeżeli ciągnie się bez końca?

- Jedyne koniec, o jaki powinieneś się troszczyć, to koniec pięści Bossa Maca, zrozumiano? - Lassiter szybko spojrział w stronę Lisy, która pochylała się nad paleniskiem i rozgrzebywała popiół. Zbliżył się do Jima i zniżył głos.

- Słuchaj no. Ty lepiej zostań na dole, dopóki Boss Mac sobie tutaj przyjeżdża. Popsujesz mu wszystko i będziesz musiał poszukać sobie jakiejś innej roboty. A co na to powie twoja żona, tym bardziej że przecież jest was troje?

- Dobrze, dobrze - powiedział Jim, z zawodem w głosie. - Ale według mnie, jeśli żart ciągnie się za długo, to w końcu przestaje w ogóle być zabawny.

- O to niech cię głowa nie boli. Ty trzymaj głowę na kłódkę, chyba że chcesz wsadzić w nią jedzenie.

Całe biurko było usłane papierami. Rye wziął do ręki jedną z kartek i odkrył, że nie jest w stanie odcyfrować własnej pośpiesznej bazgraniny. Zaklął, chwycił bloczek i zaczął pisać, ale okazało się, że wkład długopisu wysechł. Cisnął bezużyteczny przedmiot ze wstrętem do kosza na śmieci.

- Pierwszą rzeczą, jaką zrobię jesienią, będzie zatrudnienie księgowego - mruknął. - Dawno już powinienem był to zrobić.

Do tej pory trwał przy niezłomnym postanowieniu, że sam będzie prowadził wszystkie swoje interesy, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że Edward Ryan McCall III nie doszedł do niczego o własnych siłach. Problem w tym, że doprowadzenie do przyzwoitego stanu podupadłego, bliskiego ruiny rancho wymagało od niego poświęcenia ogromnych nakładów pracy i czasu. Nigdy przedtem nie przejmował się tym, że zostaje mu go tak niewiele na życie prywatne. Kobiety nie odciągały go od pracy na dłużej, niż tego wymagała przelotna przygoda. Przebywanie z rodziną też nie nęciło go zbyt, wręcz przeciwnie - słuchanie nie kończących się pouczeń ojca o konieczności kontynuacji rodu McCallów było przyczyną, dla której Rye starał się odwiedzać go jak najrzadziej.

Powiodł wzrokiem po tych wszystkich papierach i pomyślał, czy nie powinien podnieść słuchawki telefonu i zamówić buchaltera, tak samo jak zamawiał na przykład pół tony owsa. Po prostu chwycić za słuchawkę, zadzwonić gdzie trzeba i za chwilę będzie mógł wyjść z biura, mając sprawę załatwioną. Devil na pewno wyciąga głowę ponad ogrodzeniem, czekając na niego niecierpliwie.

Jednak będzie musiał jeszcze poczekać. Jeśli nie wprowadzi do komputera chociaż części tych danych, to powstanie taki bałagan w księgach rachunkowych, że nie rozwikła go nie tylko w najbliższym czasie, ale i do końca życia.

Rye zmarszczył brwi i uciekł od myśli o przyszłości.

Nigdy nie zastanawiał się nad tym, kiedy był na łące z Lisą. Nie było przeszłości ani przyszłości, tylko lato, nie mające początku ani końca. To wpływ Lisy. Było w niej coś fascynującego i zniewalającego. Może to jej wesołe usposobienie, a może po prostu to, że potrafiła żyć chwilą, całą uwagę poświęcając momentom, które spędzali razem. Nie przejmowała się czasem w tym sensie, w jakim on go rozumiał. Nie było wczoraj ani jutra, tylko bezkresna, cudowna teraźniejszość.

Jednak lato musi się skończyć. Wiedział o tym, chociaż będąc z Lisą zdawał się w to nie wierzyć. Gdzie indziej, poza łąką, wszystko wyglądało inaczej. Sumienie gnębiło go za to, że nie powiedział jej, kim jest naprawdę. Ale kiedy pojawiał się na łące, przestawało mieć znaczenie to, kim był na rancho. I czy leżał z głową na jej kolanach, opowiadając o bydło, mężczyznach lub porach roku, czy też kochał się z nią i czuł przesywające ją dreszcze namiętności, znajdował przy niej spokój, który zacierał normalne granice czasu.

To było powodem, że słowa wzięły mu w gardle i nie mógł mówić, kiedy tylko próbował powiedzieć jej, jak się naprawdę nazywa. Za każdym razem, kiedy był z nią, to, co wspólnie przeżywali, stawało się coraz ważniejsze. Gdyby teraz powiedział jej, kim jest, straciłby coś bezcennego. Lisa patrzyłaby na niego i widzi3ła Edwarda Ryana McCalla III zamiast kowboja o imieniu Rye. Od razu czas zacząłby się toczyć swym normalnym trybem. I tak koniec lata nadejdzie zbyt szybko, a ona opuści łąkę i jego.

Dlatego właśnie nie mogę jej powiedzieć. Tak czy owak ją stracę, ale dopóki o niczym nie wie, każdy dzień jest jak wspaniały dar losu. Lato musi się skończyć, a więc trzeba ten czas wykorzystać i nie zmarnować ani chwili.

Zadzwonił telefon, wyrывая go z zadumy. Sięgając po słuchawkę, spojrział na zegarek i zorientował się, że przez ostatnie pół godziny siedział beczynn timer, wpatrując się w papiery na biurku i myśląc o łące i kobiecie, która nie zauważa upływu czasu. Pragnienie zobaczenia się z Lisą przeszło go jak ostrze noża, zaskakująco ostro.

Do diabła z tymi rachunkami. Muszę być z nią, już tak niewiele czasu pozostało.

Telefon dzwonił i dzwonił. - Halo - odezwał się.

- O Boże, co za warknięcie. Można się przestraszyć, że zaraz ugryziesz.

- Cześć, siostrzyczko - powiedział uśmiechając się.

Jedynie telefony od Cindy zawsze sprawiały mu przyjemność. - Jak tam twój ostatni chłopak?

- Z tym było śmiesznie. Naprawdę komicznie.

- Szybko poszło, co?

- Jeszcze szybciej. Nawet nie zdążyliśmy zamówić obiadu, kiedy on już zaczął wypytywać o moją rodzinę, chociaż tym razem też używałam panińskiego nazwiska mamy.

- I jaki był koniec?

- Powinnam była nabić go na szpilkę, tak jak motyla i włączyć do mojej kolekcji - odparła. - Faceci robią się coraz sprytniejsi, ale, niestety, nie uczciwsi.

- Przyjedź i zamieszkaż tutaj ze mną. Będę cię bronił przed łowcami posagów, ja wyczuję takich cwaniaków na dziesięć kilometrów.

- Chciałabym, żeby tata też to potrafił.

- Znowu się w coś wpakował?

- Po szyję.

- Nic nie mów, niech zgadnę - przerwał jej Rye. - Wysoka, mocno zaokrąglona brunetka, a jej umiejętności polegają głównie na ubieraniu się w znakomicie dopasowane stroje.

- Widziałeś ją? - spytała zaskoczona Cindy.

- Nie. Ale znam jego gust. Mama była wysoka, ciemnowłosa i piękna. On wciąż jej szuka.

- W takim razie powinien też zwrócić uwagę na poziom inteligencji - odpaliła siostra.

Rye uśmiechnął się. Cindy była kopią ich zmarłej matki - wysoka, ciemnowłosa, o pięknych kształtach i przy tym błyskotliwa. Wciąż śmiejąc się, odsunął trochę krzesło i położył nogi w kowbojskich butach na usłanym papierami biurku. Przyszło mu na myśl, że obie z Lisą na pewno się polubią. Nagle uzmysłowił sobie, że Cindy nie będzie miała okazji poznać Lisy.

- ... moja koleżanka z pokoju. Pamiętasz ją, prawda? Susan Parker.

- Co takiego?

- Ryan, ukochany braciszku, zmoro moich lat dzieciennych, dzwonię, żebyś się obudził. Obudź się! Przecież za tydzień masz u siebie ten spęd czy też łapankę, jak ty tam to nazywasz. Tańce. Zgadza się?

- Zgadza.

- Przyjeżdżam do ciebie za tydzień - mówiła dalej powoli, wyraźnie, jakby jej brat miał trudności ze zrozumieniem najprostszych słów. - Przywożę ze sobą dziewczynę, która nazywa się Susan Parker. Ona była ze mną na studiach, mieszkaliśmy w jednym pokoju.

Potem zarobiła nieprzyzwoitą ilość pieniędzy na uśmiechaniu się do facetów fotografujących ją ubraną w najohydniejsze stroje, jakie są w stanie wymyślić nienawidzący kobiet dyktatorzy mody. Jesteś tam?

Wewnętrzny system ostrzegawczy Rye'a ustawił się . w pozycji "alarm".

- Piękna i bogata, tak?

- Tak.

- Nie. Zawsze jesteś tu mile widziana, ale zostaw w domu te swoje skłonności do swatania.

- Chcesz przez to powiedzieć, że moi przyjaciele nie są w twoim domu mile widziani?

- Cindy, jesteś moją ukochaną siostrą ... - zaczął z rezygnacją.

- I jedyną, przede wszystkim - wtrąciła.

- Czy zechcesz się zamknąć?

- No, skoro tak pięknie prosisz, to będę zachwycona ...

- Cynthia Edwinno Ryan McCall, jeżeli nie masz ...

- ... mogąc się zamknąć - dokończyła Cindy.

- Cindy, proszę cię, żadnego swatania. Zgoda? - poprosił Rye, wzdychając.

- Naprawdę tak ci na tym zależy?

- Tak.

- W końcu znalazłeś kogoś?

Przeszywający ból sprawił, że Rye zacisnął usta.

- Ryan?

- Bardzo bym chciał, żebyś przyjechała na tańce. Weź ze sobą tę, no jak jej tam, jeżeli to ci sprawi przyjemność. Obiecuję, że będę dla niej uprzejmy.

- Jaka ona jest?

- Do diabła, Cindy, to twoja przyjaciółka, nie moja. Skąd ja miałbym to wiedzieć?

- Nie, nie Susan. Ta, którą znalazłeś.

Zamknął oczy i przywołał w pamięci obraz Lisy śpiącej na łące, z refleksami słońca igrającymi w rozpuszczonych włosach.

- Ona jest po prostu kobietą i ... tak naprawdę nie istnieje - powiedział cicho. - Ona żyje poza czasem.

Cindy odezwała się dopiero po długiej pauzie .

- Nie rozumiem. Nie wiem nawet, czy mam się cieszyć. Zabrzmiało to jakoś tak ... smutno.

- Ciesz się. Przynajmniej przez chwilę wiem, jak to jest być kochanym tylko dla mnie samego. Ona myśli, że jestem zwykłym kowbojem w połatanych dzinsach i zdeptanych butach, i to nie ma dla niej znaczenia. Zachowuje się, jakbym ją obsypał klejnotami, a przecież nic ode mnie nie dostała.

- Z wyjątkiem ciebie.

- Dla innych kobiet to zawsze było za mało.

- Dla mężczyzn też-dodała Cindy cicho. -Jestem szczęśliwa, że ci się udało. Nieważne, jak długo to potrwa, warto było coś takiego przeżyć. Nie mogę doczekać się, kiedy ją poznam.

- Niestety, kochana. Tego nie ma w scenariuszu.

- Jak to, nie będzie jej na tańcach? Och, oczywiście, że nie. Przecież nie wie, kim ty jesteś.

Cholera!

- Nie mogłaby przyjść, nawet gdybym był w stanie jakoś to zorganizować i ją zaprosić. Nie ma pieniędzy na kupno porządnego noża, a co tu mówić o czymś tak mało praktycznym jak sukienka na zabawę. Dla mnie nie ma znaczenia, czy jest ubrana w jedwabie, czy w połatane dzinsy, ale prędzej dałbym sobie uciąć rękę niż sprawił, żeby tu się źle czuła.

- To jej kup sukienkę. Powiedz, że wygrałeś pieniądze w pokera czy coś takiego.

- A ona odpowie, że powinienem sobie kupić nową koszulę.

- Mój Boże. Zamierza zostać świętą czy co?

Rye pomyślał o zmysłowej radości, jaką Lisa czerpała z ich zbliżenia, o dotyku jej miękkich warg i gorącego języka na całym jego ciele.

- Świętą? Nic z tych rzeczy. Ona jest po prostu praktyczna i nie będzie wydawać pieniędzy na sukienkę, którą włoży tylko jeden raz, w sytuacji, kiedy jej ukochany jest zbyt biedny, żeby kupić sobie nową koszulę do pracy.

- Zatem muszę ją poznać.

- Przykro mi. I tak lato skończy się za wcześnie.

Kocham cię, siostrzyczko, ale nie chcę stracić nawet godziny z nią, tylko dla zaspokojenia twojej ciekawości.

Cindy mruknęła coś, czego wolał nie słyszeć, i w końcu westchnęła.

- Jak ona wygląda?

- Nie dalej niż kilka godzin temu Lassiter powiedział, że tak musiała wyglądać Ewa w dniu stworzenia jej przez Boga.

Rye nie dodał, że o mało nie wyrzucił Lassitera tylko za to, że ośmielał się tak patrzeć na Lisę.

- Lassiter tak powiedział? O rany. I co zrobiłeś?

- On to powiedział bardziej z szacunkiem niż z pożądaniem.

- Aha, na pewno. Jeżeli w to wierzysz, to coś musi być nie w porządku z twoją głową. W przypadku Lassitera pożądanie jest, normalnym stanem organizmu.

- Nie powiedziałem, że on mówił to wyłącznie z szacunkiem. Rzecz w tym, że w niej jest jakiś taki rodzaj niewinności, która może zdeprymować nawet Lassitera.

- W to mogę uwierzyć. - Cindy roześmiała się. - Tylko ktoś taki nie domyśliłby się, kim ty jesteś.

Gdzie ona do tej pory się chowała? W buszu? - Też, między innymi.

- I gdzie jeszcze?

- Podróżowała po świecie. Cindy, przestań już mnie wypytywać.

- To nie w porządku. Nie chcesz mi powiedzieć, jak ona wygląda, jak się nazywa ani gdzie mieszka.

- Już ci mówiłem. Ona mieszka w miejscu, gdzie nie istnieje czas.

- W takim razie gdzie ją spotkałeś?

- Tutaj.

- Tam, gdzie nie istnieje czas. - Cindy zawahała się, a potem zapytała w zadumie: - Jak to jest, kiedy się przebywa w takim miejscu?

- Nie ma słów, żeby to opisać ..

- Mój Boże, Ryan. Powinieneś być szczęśliwy, a ty mówisz tak ... ponuro.

- Bo zima nadchodzi, siostrzyczko. Przed upływem tygodnia możemy tu mieć w górach przymrozki. W tym roku lato będzie o wiele za krótkie. ~ Rye zatrzymał wzrok na górskim szczycie, wznoszącym się nad Łąką McCalla. - Coś mi się przypomniało. Muszę porobić zdjęcia przed zmierzchem.

- Potrafię zrozumieć aluzję, zwłaszcza jeżeli wbije mi się ją młotem do głowy. Do zobaczenia za tydzień.

- Nie mogę się doczekać - odparł Ryc.

Ale tak naprawdę nie mógł doczekać się czegoś innego. Rzucił słuchawkę, porwał torebkę z filmem z półki i popędził w stronę stajni. Miał uczucie, jakby czas uciekał coraz szybciej i szybciej, zabierając ze sobą to niespodziewane szczęście, jakie spotkało go tego lata. Uczucie to było tak silne, że poczuł nagły strach.

Poczucie grożącego niebezpieczeństwa nie opuszczało go przez całą drogę. Kiedy, wreszcie przebrnął przez zagajnik osiki na tyłach chaty, nie ujrzał nikogo w pobliżu. Ruszył w kierunku łąki, gdzie zaczynał się drewniany płot. Kątem oka zobaczył jakiś ruch. W jego stronę biegła Lisa, a na twarzy miała wyraz radości. Zeskoczył z konia, podbiegł do niej, chwycił w objęcia i trzymał mocno, zanurzając twarz w jej włosach, napawając się ich zapachem, mówiąc sobie, że to lato nigdy się nie skończy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lisa spojrzała na leżące na parapecie kamyki. Pięć.

Rzuciła okiem na gniadego wałacha, cierpliwie czekającego w osikowym lasku. Dostała go zaraz po tym, kiedy brodząc w strumieniu, skaleczyła się w stopę i poprosiła Jima, żeby pożyczył jej na chwilę swojego konia, by mogła sprawdzić ogrodzenie wokół łąki.

Tego samego dnia, tuż przed zachodem słońca, Rye powrócił nieoczekiwanie, prowadząc tego właśnie konia, o imieniu Nosy. Patrzył krytycznym okiem, kiedy go dosiadała, w końcu jednak pochwaliliej umiejętności i dodał szorstko, że Boss Mac powinien był wcześniej o tym pomyśleć. Mogłaby wtedy podjechać na rancho, gdyby czegoś potrzebowała, a jeżeli z jakiegoś powodu nie byłaby w stanie dosiąść konia, wystarczy puścić go luzem, a Nosy wróci na rancho jak gołąb pocztowy.

Popatrzyła na wpadające przez okno promienie słońca i pomyślała, że jest co najmniej druga po południu. On już dzisiaj po raz drugi nie przyjdzie i dobrze o tym wiesz, powiedziała do siebie. Mówił, że Boss Mac popędza teraz wszystkich, żeby zdążyć z przygotowaniami do zabawy. Tego ranka Rye przyjechał bardzo wcześnie, o świcie, i obudził ją delikatnie, ze zmysłową czułością. Potem kochali się tak, jakby to znów był pierwszy raz. Rye pieścił ją bez końca, uczył, jak dojść do takiego zapamiętania, że cały świat roztapia się w żarze ich splecionych ciał.

Będąc z nim, czuła się jak bogini wielbiona przez zmysłowego boga, a kiedy wydawało się jej, że nie wytrzyma ani chwili dłużej, uczył ją, jak można przedłużać tę ekstazę.

Drżącymi rękami sięgnęła po papierową torbę na zakupy. Mało brakowało, by dała dziś rano Rye'owi tę koszulę, kiedy wschodzące słońce zabarwiło na złoty kolor jego skórę, a oczy błyszczały rozkoszą. Ale pragnęła, żeby prezent był bez zarzutu, a nie zdążyła poprzedniego dnia uporać się ze starym żelazkiem, które znalazła na dnie jedynej szafki. Doprowadzanie go do porządku było poważną próbą jej cierpliwości i pomysłowości, ale wysiłek się opłacił. Koszula była teraz nieskazitelnie gładka i lśniąca.

.Chyba po raz dziesiąty powtarzała sobie, że Boss Mac na pewno nie będzie zły, jeżeli ona pojedzie na rancho w sprawie innej niż nagły wypadek. Łąca nic się nie stanie w czasie jej chwilowej nieobecności. Zdjęcia i notatki są zrobione zgodnie z planem. Boss Mac na pewno by zrozumiał...

Przestań marudzić, powiedziała sobie stanowczo.

Rye powiedział, że nie będzie mógł przyjechać na łąkę przez kilka dni, a tańce są już pojutrze. Jeżeli nie dasz mu tej koszuli dzisiaj, to w ogóle nie będzie miał okazji cię zaprosić. Wzięła głęboki oddech i trzymając papierową torbę, wyszła z chaty, żeby dosiąść konia.

Rye przeklinał upartą krowę takimi słowami, że nawet kamień by się zarumienił.

- Boss Mac? Jest pan tam? - wołał Lassiter.

- A gdzie, u diabła, siedzę od godziny? - warknął niezadowolony, że znów ktoś mu przeszkadza. Zaniebdał tyle spraw od czasu, kiedy zaczął spotykać się z Lisą, że teraz pracownicy przychodzili co chwila, pytając o rzeczy, które powinny być załatwione dawno temu.

- Pan wciąż zajmuje się tą głupią krową? - spytał Lassiter.

- Nie, do cholery. Robię przybranie na stół z bibułki.

Lassiter zajrzał do boksu akurat w chwili, kiedy długi, lepki, daleki od czystości ogon krowy uderzył Rye'a prosto w twarz. Następnie kowboj z szacunkiem słuchał, jak Rye opisywał ze wszystkimi detalami przodków krowy, jej osobiste przymioty, poziom inteligencji i miejsce, gdzie będzie się znajdowała po śmierci. Przez cały czas przemyślał antybiotykiem niezliczone rany, jakie krowa porobiła sobie, usiłując z uporem przejść przez ogrodzenie z drutu kolczastego.

- Widać, że rzeczywiście postanowiła wyjść z tego pastwiska, prawda? - zauważył Lassiter.

- Czy ty chcesz czegoś ode mnie, czy tylko sobie strzepisz język?

- Właśnie dzwoniła pana siostra - powiedział Lassiter szybko. - Pana ojciec przyjeżdża razem z nią, chyba że będzie miał jakieś posiedzenie i nie zdąży na samolot. Gdyby tak się stało, to pan ma pojechać po niego do miasta. Ojciec pana przywozi ze sobą kilka osób, coś około ośmiu. Panna Cindy próbowała go namówić, żeby zrezygnował z tego pomysłu, ale jak sądzę, nic z tego nie wyszło. Przyjeżdża, jak amen w pacierzu.

Rye zamknął oczy i zacisnął zęby, żeby się uspokoić. - Wspaniale - powiedział w końcu. - Po prostu cudownie. - Nagle uśmiechnął się złośliwie. - Wyobrażam sobie minę jego panienki, kiedy zobaczy, że parkiet do tańca to klepisko w stodole, a zamiast sprzętu stereo przygrywa zespół amatorski.

- Tak, to warto zobaczyć - przytaknął Lassiter,

oddychając z ulgą. - Kiedy pana ojciec był tu ostatnio? - Dziesięć lat temu.

- Przez ten czas trochę się tu zmieniło.

- Brud to zawsze brud, a świeże krowie gówno tak samo przylepia się do butów.

- Takie rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Rye przemyślał ostatnią ranę na prawym boku krowy i przeszedł do lewego.

- Chyba lepiej będzie dać sobie z tym spokój i upiec dzisiaj tę diabolicę - zaproponował Lassiter.

- Połamałobyśmy sobie na niej zęby.

Lassiter zaśmiał się. Wiedział, że Rye darzy sentymentem tę starą, zezowatą krowę, gdyż ocieliła się zaraz po tym, jak kupił to rancho. Prawie co roku rodziła zdrowe dwojaczki i Rye mawiał, że przynosi mu szczęście.

Za wielkimi, otwartymi szeroko wrotami do obory ktoś właśnie zołądkował się, szukając Bossa Maca. -

Zobacz, co się tam dzieje ~polecił Rye, uchylając

się przed następnym ciosem krowiego ogona.

Lassiter wrócił w ciągu minuty.

- Shorty pyta, jak duży dół ma wykopać pod rożen.

- Co? Na litość boską, przecież on jest z Teksasu.

- Nie, z Oklahomy. To syn maklera. Ale i tak udało

się nam go nieźle wychować. Po Jimie najlepiej sobie radzi z końmi.

- Powiedz mu, że dół ma być taki duży, żeby zmieścił się w nim młody wół - rzekł Rye, wzdychając.

Potrząsając głową, wrócił do swojej pracy. Zanim skończył, przeszkadzano mu chyba ze sześć razy. Wyglądało na to, że kiedy trzeba jednocześnie wykonywać codzienny obrządek na rancho i czynić przygotowania do zabawy, nikt nie jest w stanie poradzić sobie bez niego dłużej niż przez dziesięć minut. W końcu wyprostował się, przeciągnął zeszywniałe mięśnie i podszedł do wielkiego zlewu, żeby splukać z rąk brud i ślady lekarstwa. Rozciągając bolące plecy, pomyślał z tęsknotą o Lisie. Ale chociaż niezliczoną ilość razy próbował jakoś przyspieszyć dzisiejszą pracę, nie mógł w żaden sposób znaleźć tyle czasu, żeby pojechać na łąkę i wziąć ją jeszcze raz w ramiona. Wrócił do boksu, by rzucić okiem na krowę, i odkrył, że zdążyła już zrobić mu prezent. Nie chciał ryzykować, że w rany wda się infekcja, chwycił więc za widły, znów klnąc pod nosem.

- Rye? Jesteś tutaj?

W pierwszej chwili pomyślał, że coś mu się śni.

A potem zobaczył ją stojącą w szerokim przejściu i zagładającą do kolejnych boksów.

- Lisa? Co ty tu, u diabła, robisz?

Odwróciła się szybko na dźwięk jego głosu. Uśmiech zastygł na jej twarzy, kiedy ujrzała jego minę, i zacisnęła kurczowo palce na papierowej torbie, którą trzymała w ręce.

- Wiem, że jesteś bardzo zajęty, i nie chcę, żebyś miał jakieś przykrości od Bossa Maca - zaczęła pośpiesznie. - Mam coś dla ciebie i koniecznie chciałam ci to dać, więc przyjechałam na chwilę i ... -urwała i wcisnęła mu w ręce torbę. - Proszę.

Był zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek powiedzieć. Ciszę przerwał Wyraźny głos Jima, dobiegający zza drzwi.

- Boss Mac? Halo, Boss Mac? Gdzie pan jest?

- Tutaj! - odkrzyknął Rye odruchowo.

Lisa pobladła. Nic dziwnego, że Rye tak zareagował na jej widok. Przeszkadza mu w pracy, a Boss Mac jest gdzieś w pobliżu. Tyle słyszała o jego gwałtownym usposobieniu, więc rozejrzała się przestraszona.

- Shorty chce wiedzieć, jak głęboko położyć warstwę węgla, a Devil właśnie zgubił podkowę i poza tym Lassiter przysłał mnie, żebym panu powiedział, że dzwonił doktor i mówił, że musi jeszcze zbadać jedną klacz, co ma kolkę i dopiero potem przyjedzie pozszywać tę głupią krowę - mówił Jim, wchodząc do obory

Nagle przejście z pełnego słońca do mrocznego wnętrza sprawiło, że zaczął mrugać powiekami, wpół oślepiiony. - Gdzie do cholery ... Aha, tu pan jest. Shorty przysięga, że widział tego gniadego wałacha, co go pan dał Lisie, przywiązane go za oborą. Chce pan, żebym sprawdził?

- Nie - odpowiedział krótko Rye.

- Na pewno? A jeśli Nosy ją zrzucił albo ... - trajkotanie Jima urwało się nagle, kiedy zobaczył Lisę stojącą tuż przy Rye'u. - Och, Boże. Ale ja mam niewyparzoną gębę. Bardzo pana przepraszam.

Lisa nie słyszała, czy Rye coś odpowiedział. Stała jak sparaliżowana, wstrząśnięta dokonanym właśnie odkryciem.

- Ty jesteś ... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Tak - powiedział twardym głosem.

Wciąż patrzyła na niego osłupiała, usiłując jakoś zebrać roztrzęsione myśli.

- Boss Mac, tak mi przykro - wymamrotał Jim. - Ja przecież nie chciałem panu popsuć zabawy.

Rye stał bez ruchu. Całą uwagę skupił wyłącznie na Lisie, czekając na pojawienie się błysku wyrachowania w jej oczach. Tymczasem jej twarz wyglądała, jakby odpłynęła z niej cała krew.

"Ja przecież nie chciałem popsuć panu zabawy". Nie zauważyła nawet, że kowboj pośpiesznie wyszedł z obory, myślała tylko o tym, co Rye do niej powiedział, kiedy spotkali się po raz pierwszy. "No, mała, ty rzeczywiście jesteś inna. Jeśli zgodzisz się na bransoletkę z brylantami zamiast pierścionka, to możemy spędzić przyjemnie parę chwil". Teraz wreszcie zrozumiała, co znaczyło "inna". Po prostu głupia. Przecież on ostrzegł ją wtedy, że chce od niej tylko jednego, ale go nie rozumiała. Wzięła marzenia i tęsknoty za rzeczywistość, i stworzyła sobie postać biednego kowboja Rye'a.

"J a przecież nie chciałem popsuć panu zabawy". Słowa Jima odbijały się echem w jej skołatanej głowie. To była zabawa, po prostu żart ... wszystko to było żartem. Rye okazał się Bossem Makiem, tym bogatym kobieciarzem, mężczyzną, który nie chciał się ustabilizować i dać swojemu ojcu wnuka. Boss Mac, który miał tyle pieniędzy, że nawet nikomu w rodzinie nie chciało się ich liczyć. Tak jak i jego kobiet. Spojrzała na papierową torbę i wyobraziła sobie, co on by pomyślał o prymitywnym sposobie, w jaki została zrobiona ta koszula. Szwy nie były idealnie równe, nie można było znaleźć dwóch dziurek od guzików dokładnie tej samej wielkości, na koniec wyprasowana została przedpotopowym żelazkiem na duszę z kamienia. Poczula, że na myśl o guzikach pieką ją policzki. Każdy inny, wycięte z jelenich rogów i z grubsza wypolerowane prymitywną techniką. Popatrzyła na Rye'a z rozpaczą, próbując znaleźć słowa, żeby wytłumaczyć mu, że miała dobre chęci, tylko nie wiedziała, kim on jest i nigdy nie przypuszczała ...

Nagle uświadomiła sobie coś jeszcze i znów zbladła jak ściana.

Nic dziwnego, że Rye nie zaprosił mnie na zabawę.

Przecież on jest właścicielem tego wszystkiego i na pewno nie poprosi, by z nim . poszła na tańce dziewczyna bez pieniędzy, bez formalnego wykształcenia, która oglądy towarzyskiej nabierała wśród prymitywnych plemion. A to ci zabawa. Ze mnie - oczywiście, że ze mnie.

Miała ochotę się roześmiać, ale zapanowała nad sobą, czując, że za chwilę może się rozplakać. Tak nie można, przecież jest w cywilizowanym kraju, gdzie ludzie ukrywają swoje uczucia. Takich zasad zachowania musi się po prostu nauczyć i to zaraz, w tej jednej chwili. Zdała sobie jednak sprawę, że nie zdoła z uśmiechem pogratulować mu udanego dowcipu.

Odwróciła się i wybiegła na zewnątrz, w oślepiające słoneczne światło. Znalazła swojego konia i wspięła się na niego ze zręcznością kogoś, kto wychował się jeżdżąc na oklep. Nosy ruszył, ale silna ręka złapała za uzdę tuż pod wędzidłem, zmuszając go do pozostania w miejscu.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział Rye.

W końcu Nosy parsknął i przestał się szarpać, a Rye, nie wypuszczając wodzy, spojrzał w górę, na Lisę. Miała nienaturalnie bladą twarz i wyglądała jak ktoś, kto został uderzony bez ostrzeżenia i stara się uniknąć następnych ciosów. Wiedział bez pytania, że chciałaby znaleźć się jak najszybciej na łące, tam, gdzie zawsze panuje lato, cisza i spokój. On też tego pragnął, ale teraz było to niemożliwe.

Lisa usiłowała bez powodzenia wyrwać mu wodze z ręki.

- Setki razy próbowałem ci powiedzieć ... - odezwał się szorstkim głosem.

Jeszcze raz szarpnęła za wodze, bez żadnego rezultatu. Zdała sobie sprawę, że nie uda jej się odjechać bez zasadniczej rozmowy. Spróbowała jakoś zebrać wszystkie siły.

- Ale nie powiedziałaś - odparła, nie patrząc na niego. - To by popsulo całą zabawę. Teraz już wszystko rozumiem.

- To nie była żadna zabawa. W każdym razie nie po tym, do cholery, kiedy zostaliśmy kochankami.

Widział, że wzdrygnęła się, słysząc to, widział rumieniec zażenowania na jej twarzy. Wyglądała tak bezradnie i bezbronne. Niewinnie. Przeklinając pod nosem siebie i cały świat, ściągnął wodze, żeby koń pochylił głowę, a Lisa musiała spojrzeć mu w twarz.

- Nie wiem, dlaczego czuję się tak cholemie winny - warknął. - Miałem ważny powód, żeby ci nie mówić, kim jestem.

- Tak, oczywiście - odrzekła uprzejmie, bezosobowym tonem, patrząc gdzieś w dal ponad jego głowę. Ukradkiem pociągnęła za wodze. Nie drgnęły. - Czy mogę już jechać? A może chcesz, żebym zostawiła konia?

Te spokojne słowa dołały tylko oliwy do ognia.

- Dobrze wiesz, dlaczego ci nie powiedziałem, kim jestem, więc nie udawaj naiwnej! - zawołał z gniewem, ściskając wodze w jednej ręce, a zapomnianą papierową torbę w drugiej.

- Tak, dla żartu.

- Tu nie chodzi o żart i ty doskonale o tym wiesz!

Nie powiedziałem ci, kim jestem, bo nie chciałem, żebyś, patrząc na mnie, widziała moje pieniądze.

Dlaczego, u diabła, miałbym się czuć winny z tego powodu? I zanim odpowiesz, pamiętaj o jednej rzeczy. Wiem, że przyjechałaś do Ameryki szukać męża, który albo mógłby żyć tak jak twoi rodzice, albo miałby tyle pieniędzy, że nie musiałabyś się dostosowywać do zegarów i czterdziestogodzinnego tygodnia pracy.

W miarę jak mówił, Lisa stawała się coraz bardziej zawstydzona i to jeszcze wzmagalo jego gniew.

- Nie potrafisz dać sobie rady w nowoczesnym świecie i sama o tym wiesz - powiedział szorstko. - Przyjechałaś polować na bogatego mężczyznę albo antropologa, a skończyłaś, oddając mi się, pomimo tego, że wyglądałem na biednego i ani w ząb nie znam się na jakichś pierwotnych plemionach. Wziąłem to, co mi dałaś, i nigdy niczego ci nie obiecywałem, ani żadnego choleme małżeństwa, ani trwałego związku. Więc możesz już przestać zgrywać urażoną niewinność. Równie dobrze jak ja zdawałaś sobie sprawę, że to lato się skończy, a potem pojedziesz sobie gdzieś prosto w ramiona jakiegoś durnia antropologa, którego ci znajdzie Ted Thompson.

Nie zastanawiał się, dlaczego nawet myśl o nieznanym mężczyźnie czekającym na nią rodziła w nim taką złość. Nie zastanawiał się nad niczym - był wściekły, że ten jedyny w swoim rodzaju romans kończy się tak nieuchronnie jak słońce zachodzi wieczorem. Potrzebował Lisy, jej czułości i żaru jej ciała, jak potrzebuje się powietrza. Ale czuł, że i tak ją straci. Wiedział, że tak się stanie, ale nie przypuszczał, że tak szybko to nastąpi i że będzie to takie bolesne. Poczul, jak Lisa znów próbuje wyszarpnąć lejce.

- Nie - warknął, zaciskając pięść. - Powiedz coś, do cholery! Nie możesz ot, tak sobie odjechać, jakby mnie w ogóle nie było!

Do tej pory myślała tylko o jednym - jak stąd uciec.

Teraz po raz pierwszy spojrzała prosto na niego. W jej oczach Rye zobaczył to, co sam odczuwał - ból, rozżalenie i gorycz. Zbiło go to z tropu. Kiedy zaczęła mówić, zauważył, jak starannie dobiera słowa, jak stara się, by jej głos brzmiał spokojnie, choć widział, że nerwy ma napięte do granic wytrzymałości.

- Nic nie wiem o żadnym antropologu, durniu czy nie durniu - powiedziała. - Rzeczywiście, moi rodzice pragnęli, żebym znalazła tu męża, ale nie dlatego przyjechałam do Stanów. Chciałam przekonać się, kim i czym naprawdę jestem. Zawsze byłam tym białym, obcym przybyszem, znającym inne zwyczaje, inne rzeczy, inne sposoby życia. Pomyślałam, że może moje miejsce jest tutaj, w Ameryce, gdzie mieszkają ludzie o wszystkich kolorach skóry, a tradycje tworzy się na nowo. Pomyliłam się, tutaj też nie pasuję. Jestem ... jestem zbyt biedna.

- Ale to nie ma nic wspólnego z nami, z tobą i ze mną - zauważył chłodno.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- W tej chwili czujesz się urażona i rozżalona, ponieważ zakpiłem z ciebie, a ja z kolei jestem wściekły jak diabli na wszystkich, a zwłaszcza na samego siebie. Ale tak naprawdę wszystko między nami jest jak dawniej. Patrzę na ciebie i pragnę cię tak bardzo, że ledwo mogę wytrzymać.

Ty patrzysz na mnie i czujesz to samo. To się nie zmieniło.

Spojrzała na niego i zobaczyła znajomą linię ust, błyszczącą szarość oczu i wiedziała, że on ma rację. Nawet teraz, chociaż szarpał ją ból i gniew, wystarczyło, że popatrzyła na niego i już była opętana pożądaniem.

Rye wyczytał to z jej oczu i poczuł, jakby stalowe kleszcze, które przed chwilą ścisnęły go w środku, powoli zwalniały uchwyt. Koniec lata nadejdzie ... ale jeszcze nie dzisiaj. Nie w tej chwili. Znow mógł oddychać. Wypuścił lejce i oparł rękę na jej udzie.

- Z tego wszystkiego jest chociaż jeden pożytek - odezwał się szorstko. - Teraz, kiedy już wiesz, kim jestem, nie ma powodu, żebyś nie przyszła na tańce.

Kiedy tylko wspomniał o tańcach, Lisa przypomniała sobie tę nieszczęsną koszulę ukrytą w torbie, którą wciąż trzymał w ręku. Poczula nagle, że wytrzyma wszystko, ale za nic nie pozwoli, żeby zobaczył jej zawartość.

- Dziękuję, to bardzo uprzejmie z twojej strony, ale ja nie umiem tańczyć - powiedziała pośpiesznie.

Uśmiechnęła się do niego, modląc się w duchu, żeby zrozumiał, że odmawia nie z powodu urażonej dumy czy gniewu. Zdawała sobie sprawę, że nie będzie pasowała do towarzystwa na rancho. Ale Rye nie był dziś zbyt domyślny. Od strony stodoły słychać było głos Lassitera, nawołujący Bossa Maca. Rye zaklął ze złością.

- Nauczę cię - odparł stanowczo. Potrząsnęła tylko głową.

- Halo! Boss Maci Jest pan tam? - wołał Lassiter. - Telefon do pana! Z Houston ...

- Chyba musisz iść - powiedziała, chwytając wodze.

Rye złapał je szybkim ruchem.

- Nie puszcę cię, dopóki nie zgodzisz się przyjść na tańce.

- Boss Mac? Halo! Gdzie pan jest, u diabła?

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł - powiedziała z pośpiechem. - Ja naprawdę nie znam się na amerykańskich zwyczajach ani...

- Pieprzę zwyczaje - warknął Rye. - Zapraszam cię na tańce, a nie żeby badać osobliwe zwyczaje tubylców!

- Boss Maci Halo!

- Już idę, do cholery!

Przestraszony koń spróbował uskoczyć. Rye powściągnął go i popatrzył na Lisę.

- Przyjdiesz na tę zabawę - powiedział stanowczo. - Jeżeli nie masz sukienki, to dostaniesz ją ode mnie.

- Nie - zaprotestowała szybko, zbyt dobrze pamiętając jego słowa o diamentowej bransoletce. -

Żadnych sukienek, żadnych bransoletek. Mam wszystko, co jest mi potrzebne.

Już chciał się spierać, ale wyraz jej bladej, zdecydowanej twarzy powiedział mu, że to bezcelowe.

- Dobrze - powiedział w końcu podniesionym głosem. - Możesz włożyć te swoje cholerne dzinsy, mnie jest wszystko jedno. Jeżeli nie chcesz tańczyć, to będziemy słuchać muzyki. Nie zdążę przyjechać po ciebie, ale wczesnym popołudniem wyślę Lassitera.

Wahając się i wiedząc, że popełnia błąd, skinęła głową. Nie mogła oprzeć się pokusie zobaczenia go znowu.

Na Rye'a spłynęło wielkie, osłabiające uczucie ulgi.

- Maleńka - powiedział cicho, przesuając po jej udzie grzbietem dłoni, w której trzymał papierową torbę.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej, kim jestem. Ja tylko nie chciałem, żeby ... coś się zmieniło.

Znow skinęła głową i delikatnie dotknęła jego dłoni.

Kiedy chciał wziąć ją za rękę, wyrwała mu papierową torbę i jednocześnie pociągnęła za wodze. Zanim się zorientował, Nosy był już poza jego zasięgiem.

- Lisa?

Spojrzała na niego. Twarz miała bardzo bladą, a oczy tak pociemniałe, że całkiem zmieniły dotychczasowy kolor.

- Przecież przyjechałaś specjalnie, żeby mi to dać.

- To było dla kowboja o imieniu Rye. On mieszka tam, na łące. Tutaj jest Boss Mac.

- Rye i Boss Mac to ta sama osoba - powiedział, czując znow zaciskające się kleszcze.

Nic już nie odpowiadając, skierowała konia w stronę gór.

- Liso? - zawołał. - Liso! Co chciałaś mi podarować?

- Nic, czego byś potrzebował ...

Stał tak jeszcze przez chwilę, słysząc wciąż echo tych słów. Poczul, że coś wymknęło mu się z rąk, odeszło od niego. Wmawiał sobie, że to głupstwo - Lisa po prostu jest wstrząśnięta i urażona, dlatego zabrała z powrotem ten prezent, cokolwiek to było, ale przecież przyjedzie na tańce. Znow ją zobaczy. Lato jeszcze się nie skończyło.

"Nic, czego byś potrzebował."

Nagle wydało mu się, że otworzyła się jakaś otchłań i stracił coś, czego nie potrafił określić.

- Nic się nie zmieniło - powiedział do siebie gwałtownie. - Ona wciąż mnie pragnie i nie chodzi tu o żadne pieniądze. Nic się nie zmieniło!
Ale i tak w to nie wierzył.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnego ranka Lisa obudziła się i ujrzała niezwykły krajobraz - ziemię pokrytą błyszczącym diamentowym pyłem i szafirowe niebo. Oddech unosił się srebrzystymi obłokami w zimnym i krystalicznie czystym powietrzu. Stała w otwartych drzwiach chatki i napawała się tym widokiem tak długo, aż poczuła przejmujące do szpiku kości zimno.

Tylko raz jej myśli podążyły do Rye'a, który był Bossem Makiem, który nie był Rye'em. Nie, nie będę się nad tym zastanawiać, pomyślała. Tego, co się stało, nie można cofnąć, tak jak nie można wrócić do ciepła wczorajszego dnia.

Wciągnęła sztywne od chłodu dżinsy i włożyła podkoszulek, bluzkę, bluzę od dresu, kurtkę przeciwdeszczową, szalik i buty - wszystko, co tylko miała w szafce. Na dworze słońce świeciło tak jasno, że płomienie ogniska były niemal niewidzialne i zdradzało je tylko lekkie drganie powietrza na tle intensywnego błękitu nieba. Kawa smakowała bosko i Lisa czuła, jak ciepło rozchodzi się po jej zziębniętym ciele. Patrzyła, jak kryształki szronu migoczą i znikają pod wpływem podnoszącego się wyżej słońca i kiedy nie było już śladu przymrozku, a rosa wyschła, przeszła przez ogrodzenie z aparatem fotograficznym w rękę, żeby po raz ostatni utrwalić na kliszy swoje rośliny. Ten sam mróz, który sprawił, że łąka wyglądała tak pięknie, oznaczał kres ich wzrostu.

Poruszała się cicho i lekko, jak dzikie zwierzę.

Pewnymi rękami obcinała pełne nasion kłosa traw i wkładała do torebek z numerami. Następnie, JUŻ w chacie, wkleiła do notatnika dzisiejsze fotografie i opatrzyła uwagami. Stojące wysoko słońce i burczący żołądek dały jej znać, że już minęło południe. Postawiła na ogniu wiadro z wodą do umycia włosów i szybko zjadła coś na zimno. Jednak zanim woda się zagrzała, usłyszała stuk końskich kopyt. Serce zabiło jej gwałtownie, ale kiedy się odwróciła, okazało się, że to tylko Lassiter.

A niby kogo powinnam się spodziewać? Rye ... Boss Mac powiedział, że przyśle Lassitera, i właśnie to zrobił.

- Witaj - powiedziała, uśmiechając się zdrętwiałymi wargami. - Jadłeś już śniadanie?

- Niestety, tak - odparł Lassiter z żalem w głosie. - Boss Mac powiedział, żebym od razu przywiózł cię na rancho. Właśnie kiedy wyjeżdżałem, zadzwonił jego ojciec. Szef musi jechać po niego do miasta. Nawet nie chcę mówić, w jakim był humorze.

- Rozumiem. Tak czy owak możesz nalać sobie kawy, bo muszę jeszcze spakować parę rzeczy. Jeżeli nie powiesz Bossowi Macowi, że straciliśmy tych kilka cennych minut, to ja w każdym razie tego nie zrobię.

Lassiter zsiadł z konia i przyglądał się jej badawczym wzrokiem.

- Do brze się czujesz?

- Dziękuję, dobrze - odparła, zmuszając się do uśmiechu.

Lassiter również się uśmiechnął, ale nie przestawał jej obserwować.

- Widzę, że w nocy był niezły przymrozek - odezwał się w końcu, rozglądając się wokoło. - Ale teraz przez kilka dni będzie bardzo ciepło.

- Naprawdę? Skąd to wiesz?

- Wiatr się zmienił dziś rano i teraz wieje z południa. Chyba zaczyna się babie lato.

- A co to takiego?

- Kilka dni pięknej, słonecznej pogody pomiędzy pierwszymi przymrozkami a nadejściem prawdziwej jesieni. Ciepło jak w lecie, ale owady nie dokuczają.

- Falszywe lato - szepnęła, patrząc na żółknące liście osiki.

Pobiegła do chaty i po kilku chwilach wyłoniła się stamtąd z plecakiem w rękach. Włosy miała ukryte pod związanym na karku kolorowym szalem. W tym czasie Lassiter zdążył osiodłać Nosa'ego. Kiedy podawał jej wodze, zdał sobie sprawę, że nie widać na jej twarzy nawet śladu zwykłego uśmiechu.

- On nie zamierzał cię skrzywdzić - powiedział łagodnie.

Popatrzyła na niego zmieszana, wracając myślami od liści osiki, wyglądających jak tysiące płomyków świec na tle nasyconego błękitu nieba.

- Boss Mac - wyjaśnił. - No jasne, on ma wybuchowy charakter i nie da sobie w kaszę dmuchać, ale nie jest wcale małostkowy czy też zły. Nie wymyślił tego po to, żeby cię zranić.

- Jestem tego pewna. Nie przejmuj się tym, że nie śmiałam się we właściwych momentach. Po prostu jeszcze nie całkiem rozumiem amerykańskie poczucie humoru - odparła z uśmiechem.

- Zakochałaś się w nim, prawda? - spytał spokojnie.

- W Bossie Macu? - Twarz Lisy była pozbawiona wyrazu.

Lassiter skinął głową.

- Nie - odpowiedziała, ruszając w kierunku drogi. - Zakochałam się w kowboju Rye'u.

Przez chwilę stał z otwartymi ustami i patrzył, jak Lisa odjeżdża. Ocknął się wreszcie, szybko dosiadł konia i podążył za nią. Przez całą drogę na rancho uważał, żeby rozmawiać tylko o błahych sprawach i pod koniec uśmiech znów zagościł na twarzy Lisy, choć cienie pod oczami nie zniknęły.

Na podwórzu stało już zaparkowanych wiele kosztownych samochodów, pokrytych grubą warstwą kurzu z polnych dróg. Widać było też parę wozów terenowych z sąsiednich farm i kilka obcych koni w zagrodzie. Przy jednej ścianie stodoły przymocowana została wielka, pasiasta markiza, mająca chronić stoły przed przelotnymi deszczami, które zdarzały się tu często. Ludzie nawoływali się, wykrzykiwali słowa powitania, nosili coś z samochodów do kuchni. Wyglądało na to, że wszyscy znali się od dawna.

Do Lisy powróciło znajome uczucie - tęsknota i jednocześnie skrępowanie, że jest jedyną osobą, która nie pasuje do tego zgromadzenia.

Lassiter przejechał kolejno wzrokiem po stojących samochodach i zaklął pod nosem,

- Nie widzę wozu Bossa Maca. To znaczy, że jego ojciec nie zdążył na wcześniejszy samolot. Niech to piekło pochłonie, szef będzie wściekły jak diabli. Chodźmy, ulokuję cię w pokoju, żeby chociaż o to nie miał do mnie pretensji.

- W pokoju?

- Boss Mac powiedział, żeby zaprowadzić cię do jego pokoju - powiedział Lassiter ostrożnie, starając się nie patrzeć na nagły rumieniec na twarzy dziewczyny. - To ten duży, zaraz obok salonu. Zjeżdża się mnóstwo ludzi: jego siostra z przyjaciółką, ojciec z paroma osobami, więc nie było zbyt wielkiego wyboru - dodał pośpiesznie.

- Nie ma sprawy - odparła Lisa stanowczo. - Nie zostaję tu na noc, więc potrzebny mi będzie tylko na chwilę, żeby się wykapać i przebrać.

- Ale Boss Mac powiedział...

- Mam zaprowadzić konia do zagrody czy puścić na pastwisko? - przerwała mu cierpkim głosem.

Myśl, że Rye - nie, nie Rye, Boss Mac - bez pytania postanowił ulokować ją w swojej sypialni, rozwścieczyła Lisę. Po raz pierwszy od chwili, kiedy odkryła, kim on jest naprawdę, poczuła się nie tylko oszukana i wystrychnięta na dudka, ale i obrażona. Mogła pogodzić się z końcem lata, tak jak człowiek godzi się z nieuchronnością przemijania pór roku, ale nie miała zamiaru zostać po prostu kolejną kochanką Bossa Maca.

- Wezmę go do stajni - rzekł Lassiter, patrząc na nią badawczo. - Dość długo już był na pastwisku.

- Dziękuję - odparła, zsiadając z konia. - Czy mógłbyś zostawić uprzęż na drzwiach boksu?

- Szef polecił mi ją schować. Powiedział, że nie będzie ci już potrzebna, tak jak zresztą i koń. - Lassiter odchrząknął i dodał, czując się nieswojo: - Wynika z tego, że spodziewał się, iż zostaniesz tutaj.

- W jego sypialni? - zapytała, unosząc brwi w przesadnym zdumieniu. - Razem z nim? To chyba nie wypada, nie sądzisz? Przecież ja dopiero wczoraj go poznałam, musiał mnie pomylić z jakąś inną kobietą.

Lassiter otworzył usta, zamknął je i w końcu się roześmiał.

- On nic nie mówił o tym, gdzie sam będzie spał, tylko gdzie chce ciebie ulokować. Nigdy nie zapraszał tu na noc żadnej kobiety. Ani razu.

- Wielkie nieba. Za żadne skarby nie chciałabym mu zepsuć takiej nieskazitelnej reputacji. Zwłaszcza po tak krótkiej znajomości.

- Zdaje się, że zamierzasz odplacić się pięknym za nadobne - powiedział Lassiter, patrząc na nią z podziwem.

- Co zamierzam?

- Zrewanżować się - wyjaśnił zwięźle.

Taki pomysł nie przyszedł jej do głowy, ale kiedy o tym już pomyślała, pokusa była ogromna. Obawiała się jednak, że ma niewielkie szanse, żeby pobić Rye'a jego własną bronią.

Gdy weszła do domu, zauważyła od razu, że umeblowanie jest tu naprawdę spartańskie, z wyjątkiem części biurowej. Tutaj nie było niczego taniego, zużytego czy przestarzałego. Boss Mac dbał, by jego biuro

było dobrze wyposażone, bydło i konie najlepsze, a zarobki pracowników wyższe niż przeciętne wynagrodzenie kowbojów.

Ciekawe, jak on płaci swoim kochankom? Odpowiedź znalazła równie szybko, jak zadała sobie pytanie.

Oczywiście, brylantowe bransoletki!

Nie było wątpliwości, która sypialnia należy do Rye'a. Tylko w jednej stało łóżko o odpowiednich rozmiarach. Lisa weszła do łazienki i zamknęła drzwi na zasuwkę. Wyjęła z plecaka ametystowy zwój materiału i rozwiesiła go na wieszaku. Wzięła długi prysznic, rozkoszując się gorącą kąpielą. Przez ten czas para usunęła większość zagnieceń na tkaninie, a z resztą poradziła sobie, używając żelazka, które znalazła w szafce.

Po kilku próbach odkryła, do czego służy leżąca na wierzchu różowa suszarka do włosów. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Rye'a używającego czegoś takiego czy też pachnącego mydła w płynie i szamponu, które stały przy prysznicu i których nie chciała używać, gdyż butelki nie były jeszcze rozpieczętowane.

Może jednak Rye gościł tutaj kobiety, wbrew temu, co sądził Lassiter.

Zamyślona, szcztokowała włosy, aż stały się puszyste i błyszczące jak złoto. Obrysowała oczy w taki sposób, w jaki robią to od niepamiętnych czasów kobiety na Bliskim Wschodzie. Tusz przyciemnił jej długie jasne rzęsy, które zrobiły się niemal tak czarne jak źrenice. Jej perfumy były mieszanką płatków róż i piżma, a do ust użyła połyskującej zawartości wonnego drewnianego pudełeczka, nie większego niż jej palec. Zebrała połyskującą masę włosów i zwinęła w węzeł, który umocowała na głowie dwiema długimi szpilami z hebanu, inkrustowanymi opalizującymi kawałeczkami masy perłowej. Na przegub lewej ręki włożyła sześć tak samo wykonanych bransolet. Wyjęła z plecaka i wsunęła na nogi błyszczące czarne pantofelki. Teraz wzięła zwój ametystowej tkaniny i owinęła się nią w sposób, w jaki upina się hinduskie sari. Zwisający, ponad metrowy koniec przykrywał włosy i sprawiał, że jej oczy wyglądały jak ametystowe klejnoty w lśniącej perłowo oprawie twarzy.

- Lisa? Jesteś tam? Otwórz. Muszę wziąć prysznic, a Cindy zamknęła się w drugiej łazience.

Drgnęła, słysząc niespodziewanie głos Rye'a. Jej serce zaczęło bić jak szalone.

T o nie może być Rye. Jest za wcześnie.

Ruszyła w kierunku drzwi, ale zatrzymała się po paru krokach. Nie była jeszcze przygotowana na to, żeby stanąć z nim twarzą w twarz i uśmiechać się, jakby nic się nie stało. Nie była zresztą pewna, czy kiedykolwiek się na to zdobędzie.

- Lisa? Wiem, że tam jesteś. Otwórz te cholerne drzwi!

Zanim zdążyła coś powiedzieć, rozległ się znajomy głos.

- Boss Mac? Halo, Boss Mac! - wołał Lassiter.

- Jest pan w domu? Blaine mówi, że ta krowa zeżarła swoje szwy. Dzwonić znów po doktora czy chce pan sam pozszywać tę cholere?

Odpowiedź Rye' a upewniła ją, że Lassiter miał rację co do jego humoru. Kiedy odgłos kroków i przekleństw ucichł za frontowymi drzwiami, wyjrzała ukradkiem z sypialni i nie widząc nikogo w pobliżu opuściła ją w pośpiechu. W drzwiach do salonu o mało nie zderzyła się z wysoką, szczupłą kobietą o włosach koloru świeżo zmielonego cynamonu i figurze modelki. Zauważyła kosztowną bransoletkę z brylantami na jej ręce.

- Mój Boże - odezwała się nieznajoma, przyglądając się Lisie z ciekawością. - Od kiedy Ryan założył sobie harem?

- Ryan?

- McCall. Edward Ryan McCall Trzeci, właściciel tego rancho i paru milionów innych drobiazgów.

- Aha, jeszcze jedno imię. A co do haremu, to dobre pytanie. Myślę, że on powinien znać odpowiedź. Najlepiej niech pani zapyta go następnym razem, kiedy będzie kupował kolejną bransoletkę.

- Słucham?

- A, tutaj jesteś, Susan - odezwał się inny kobiecy głos. - Już myślałam, że porwał cię ten złotousty diabeł o srebrnych włosach.

Lisa odwróciła się i zobaczyła ciemnowłosą kobietę w eleganckim jedwabnym kombinezonie, piękną i zgrabną, idącą od strony frontowej werandy.

- Mój Boże - powiedziała, bezwiednie naśladując Susan. - Czy on rzeczywiście ma harem?

- Lassiter? - spytała szatynka. - No cóż, obawiam się, że tak. Ale musimy mu wybaczyć. W końcu on jest jedyny w swoim rodzaju, a tyle pięknych kobiet wkoło.

- Nie Lassiter. Rye. Ryan. Boss Mac. Edward Ryan McCall Trzeci - wyjaśniła Lisa.

- Opuściła pani brata Cindy - dodała sucho jej rozmówczyni.

- Kogo?

- Cindy, musisz przedstawić się tej małej hurysie, zanim przebijesz cię jedną z tych eleganckich szpilek do włosów - powiedziała Susan śmiejąc się. - A przy okazji, skąd pani je wzięła?

- Z Sudanu, ale to nie jest oryginalny ludowy wyrób. Zostały kupione w sklepie - odpowiedziała Lisa automatycznie, nie odrywając wzroku od wysokiej brunetki. Przy niej i przy Susan czuła się jak krótki słupek ogrodzeniowy, owinięty używanym łachmanem.

Boże, ależ one są piękne. Pasują do tego otoczenia, gdzie wszyscy znają siebie nawzajem. Powinnam była zostać na łące.

- A sposób malowania oczu pochodzi z Egiptu, sprzed jakichś trzech tysięcy lat. Sukienka jest rodzajem sari - recytowała Susan, wyliczając wszystko po kolei na palcach. - Buty tureckie. Oczy w ogóle nie są z tego świata. Wygląd trochę skandynawski z walijską cerą, a całość ma znakomite proporcje, choć wzrost trochę zbyt niski. Wysokie obcasy rozwiązałyby ten problem. Dlaczego pani ich nie nosi?

- Susan jest była modelką, a teraz prowadzi dom mody. Ona nie chciała być nietaktowna - wyjaśniła jej towarzyszka.

- Ja? Nietaktowna? - Susan uniosła w górę nienagannie zarysowane brwi. - Całość jest niezwykła i całkowicie fascynująca. Czy nietaktem jest dodanie, że przy wysokich obcasach efekt byłby jeszcze większy? Mogę zaproponować moje buty, ale musiałaby je pani przeciąć na pół. Boże, mogłabym popełnić morderstwo, byleby mieć tak delikatne stopy. Albo takie oczy. Czy pani włosy mają naprawdę taki platynowy kolor, czy też pani troszeczkę poprawiła odcień?

- Poprawiła? - powtórzyła Lisa, nie rozumiejąc.

- Prawdziwe! - jęknęła Susano - Chodź, zamknijmy ją w szafie, w przeciwnym razie żaden mężczyzna na mnie nie spojrzy.

Lisa nie wierzyła własnym uszom. Nie mogła wykrztusić słowa, była zbyt zdumiona tym, że taka wysoka, o takich oryginalnych włosach piękność może jej czegoś zazdrościć.

- Zaczniemy wszystko od początku - odezwała się brunetka, uśmiechając się do niej. - Jestem Cindy McCall, siostra Ryana. - Roześmiała się, widząc ulgę na twarzy Lisy. - Rozumiem, współzawodniczenie z Susan jest wystarczająco trudne, nie potrzeba już więcej konkurentek. Niestety, obawiam się, że obie zostałyście wyeliminowane z gry: Ryan już sobie kogoś znalazł, tyle że to tajemnica. Ale tu jest wielu samotnych mężczyzn, mnóstwo dobrego jedzenia i widziałam nawet trochę wina za tymi stosami piwa w lodówce. Innymi słowy - jest więcej powodów do zadowolenia niż do zmartwienia.

Lisa zamknęła oczy i stłumiła okrzyk niedowierzania, a w jej głowie odbijały się echem słowa Cindy:

"Ryan już kogoś znalazł".

- Nie uwierzyła ci - odezwała się Susano - Jak myślisz, czy ona ma jakieś imię? Może nam powie, jeżeli będziemy bardzo grzeczne?

- Jestem Lisa Johansen - odpowiedziała, uśmiechając się blado.

- A więc miałam rację co do pani skandynawskiego pochodzenia - powiedziała Susan z triumfem.

Nagle pojawił się Lassiter. Pochylił się ku Susan i powiedział coś tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć. W odpowiedzi podała mu rękę i oboje ruszyli do wyjścia.

- Przyrowadź ją z powrotem przed świtem! - zawołała za nimi Cindy.

- Czy chodzi pani o jakiś konkretny dzień? - spytał Lassiter niewinnie.

Cindy roześmiała się i potrząsnęła głową. Lisa spojrzała uważnie, ale nie ujrzała na jej twarzy cienia zazdrości.

- Pani się tym nie przejmuje? - spytała.

- Lassiterem i Susan? - Cindy wzruszyła ramionami. - Oboje są pełnoletni. Miałam tylko nadzieję, że może Ryan zwróci na Susan uwagę, ale dowiedziałam się, że nie ma na to szans, bo on jest zaangażowany gdzie indziej.

- Gdzie ona teraz jest?

- Kto?

- Ta dziewczyna Rye'a ... Ryana.

- A czy pani wie o jakimś miejscu w okolicy, gdzie nie istnieje czas? - powiedziała Cindy, uśmiechając się dziwnie.

- Co takiego?

- Powiedział mi, że "ona mieszka w miejscu, gdzie nie istnieje czas". Dlatego nie mogę jej poznać, na rancho jest za dużo zegarów.

Łzy zapiekły Lisę pod powiekami, kiedy zdała sobie sprawę, że to ją Rye miał na myśli. On też wiedział, że jej miejsce jest na łące, gdzie odwiedza ją ubogi kowboj Rye.

- Ale bardzo bym chciała zobaczyć ich razem - ciągnęła Cindy z nadzieją w głosie. - Może chociaż w ten sposób dowiem się, jak to jest, jeśli ktoś kogoś pragnie dla niego samego, a nie z powodu jego konta w banku.

W jej głosie Lisa usłyszała echo wypowiedzianych kiedyś słów Rye'a: "Raz, chociaż raz w moim życiu chciałbym poczuć, że ktoś pragnie mnie jako mężczyznę. Po prostu jako mężczyznę o imieniu Rye". Wtedy nie rozumiała, co miał namyśli. Teraz już wiedziała i to sprawiło jej jeszcze większy ból. Kochała go tak, jak zawsze pragnął być kochany. Szkoda, że on nigdy w to nie uwierzy, niestety, nie jest zwyczajnym kowbojem. Jest Edwardem Ryanem McCallem III, któremu dostało się zbyt wiele pieniędzy, a za mało miłości.

- Och, niech pani patrzy, co za wspaniałe dziecko
- szepnęła Cindy.

Lisa spojrzała do tyłu i zobaczyła Jima z niemowlęciem w ramionach. Trzymał je dość niezręcznie. Najwyraźniej był bardziej obyty z końmi. Dziecko najpierw zakwiliło cicho, a po chwili wszem i wobec oznajmiło swoje niezadowolenie.

- Mogę? - spytała Lisa wyciągając ręce.
- Jest tak cholernie mały, że zawsze boję się, czy go
nie uszkodzę - powiedział Jim, podając go jej ze szczerą ulgą malującą się na twarzy.

Lisa odruchowo zaczęła kołysać małego, przemawiając do niego cichym, spokojnym głosem. Tłuste paluszki sięgnęły do barwnego materiału przykrywającego jej głowę i pociągnęły go w dół. Teraz uwagę dziecka zwróciły czarne pałeczki, błyszczące wśród jasnych włosów. Wyciągnęło do nich rączki, ale okazało się, że tłuste łapki są za krótkie. Lisa szybkim ruchem wyjęła szpilki z włosów wiedząc, że musi jakoś odwrócić jego uwagę, i ukryła je w fałdach sukni. Tymczasem rozluźnione włosy zaczęły ześlizgiwać się w dół - najpierw powoli, potem coraz szybciej, aż rozpostarły się jak ciężka jedwabna kurtyna, sięgająca bioder.

- Och, zepsuł pani fryzurę. Tak mi przykro - powiedział zakłopotany Jim.
- Nic się nie stało - odparła spokojnie. - Wszystkie dzieci lubią błyszczące rzeczy.
Wzięła do ręki kosmyk swych miękkich włosów i zaczęła łaskotać nim policzki dziecka, aż roześmiało się z zadowolenia i chwyciło ją za palec. Bujała je powoli w ramionach, nucąc starą afrykańską kołysankę. Cindy patrzyła z zachwytem na ten obraz i nie zdając sobie z tego sprawy, powiedziała półgłosem: - "Ona jest po prostu kobietą i mieszka w miejscu, gdzie nie istnieje czas".

Nagle tuż obok odezwał się jej brat: - Tak.
Lisa powoli uniosła głowę. Rye spojrzał jej w oczy, szukając w nich tego, czego najbardziej się obawiał - chciwości, ale znalazł jedynie smutek.

- A gdzież to uciekł Eddy? - zagrzmiął męski głos.
- Jest zemną, tato - zawołała Cindy w odpowiedzi.
- W takim razie dawaj go tutaj! Betty Sue i Lynette nie po to przyleciały taki kawał drogi aż z Florydy, żeby rozmawiać z takim starcem jak ja.

Rye zacisnął zęby, odwrócił się i posłał ojcu spojrzenie, na widok którego każdy inny człowiek nie odważyłby się zrobić następnego kroku. Jednak Edward McCall II nie przejął się tym zbyt i oplatając ramionami posagowe kształty towarzyszących mu kobiet, ruszył w stronę syna.

- No, dziewczynki, tu jest ten mój starszy syn i dziedzic, jedyna osoba na świecie, która jest jeszcze bardziej uparta niż wasz uniżony sługa. Ale nie tracę nadziei, że w końcu obdarzy mnie wnukiem i wtedy moją synową obsypię brylantami.

- Błagałam go, żeby tego nie robił - szepnęła Cindy. - Mam pomysł, przedstaw go Lisie. Może wtedy coś do niego dotrze.

- Do niego coś dotrze tylko wtedy, kiedy mu się to wbije młotkiem do głowy.
- Ryan, jak możesz! Przecież to twój ojciec. A poza tym, to nic nie pomoże. On jest tak zdesperowany, że nawet ostatnio przysyłał mi jakichś fagasów wprost do domu!

- A więc dlatego przywlokłaś tu tę, jak jej tam ...
- Ja ...

Rye zaklął pod nosem, kiedy ojciec ruszył naprzód, z obiema paniami przyklejonymi do jego boków. Cindy zamknęła oczy, pomodliła się w duchu i powiedziała szybko:

- Tato, chciałabym, żebyś poznał kogoś naprawdę wyjątkowego. Nazywa się Lisa Johansen i ...
Głos jej zamarł, kiedy odwróciła się, żeby przedstawić ojcu Lisę. Z tyłu nie było nikogo oprócz Jima, trzymającego dziecko w ramionach.

Chociaż była pełnia księżyca i wszystko oblewała srebrzysta poświata, Rye nie odważył się pojechać na łąkę swą zwykłą ścieżką. Podążał drogą, po pojedynczych śladach kopyt, które widać było na ziemi wciąż wilgotnej po popołudniowej burzy. Skoncentrował się wyłącznie na tych śladach, nie chcąc myśleć o niczym innym - ani o swojej zażartej kłótni z ojcem, ani o cieniach pod oczami Lisy, ani o tym, co poczuł, kiedy odwrócił się i zobaczył, że zniknęła bez pożegnania.

Lato się nie skończyło, mówił do siebie w duchu.

Ona nie może jeszcze odejść.

Odgłos końskich kopyt poderwał Lisę z posłania.

Obawiała się, że Rye nie przyjedzie, chociaż wciąż miała nadzieję. Wydawało jej się, że coś słyszy za każdym razem, kiedy zapadała w płytki sen, i zrywała się z sercem walącym jak szalone. Ale tym razem nie przesłyszała się. Podbiegła do drzwi chaty.

- Lisa?

Popędziła ku niemu w świetle księżyca, nie kryjąc radości. Rye chwycił ją w ramiona, przycisnął mocno, a jej włosy obsypały go połyskliwą falą. Zdumiało go, że jej łzy są tak gorące.

- Ba! Jlll się, że nie przyjedziesz - powtarzała, śmiejąc się, płacząc i całując go jednocześnie. - Tak się bałam.

- Dlaczego uciekaś? - dopytywał się, ale jedyną odpowiedzią były łzy, pocałunki i kurczowe obejmowanie go za szyję. - Dziecinko - wyszeptał. - Kochanie, wszystko w porządku. Wszystko już dobrze. Jestem tutaj. .. Jestem.

Zaniósł ją do chaty i nie wypuszczając z ramion położył się z nią na skłębionej pościeli. Zapomniał o gniewie, zapomniał o wątpliwościach, chciał tylko ją pocieszyć. Po dłuższej chwili łzy przestały płynąć i ucichł szloch, który drażył serce Rye'a jak ostry nóż.

- Prze ... przepraszam - wyjąkała Lisa. - Chciałam być opanowana, ale w końcu nie wytrzymałam i... Przepraszam.

Rye uspokajał, ją delikatnie całując wargi i mokre od łez rzęsy, przytulając ją mocno do siebie, a Lisa odprężała się powoli. Zamknął oczy i oddychał jej zapachem, rozkoszował się jej ciepłem. Po chwili poczuł na szyi pocałunki i uśmiechnął się, gdyż jakiś wielki ciężar nagle spadł mu z serca.

- Czy już teraz możesz mi powiedzieć, o co chodzi? - wyszeptał, ocierając policzek o jej chłodne, jedwabiste włosy.

Potrząsnęła głową, patrząc na niego z oczami pełnymi pożądania, ale jednocześnie wciąż bliska łez.

- Już wszystko dobrze - odpowiedziała. - Jesteś tutaj.

- Ale co ... ?

Poczuł ciepły język przesuwający się po obrzeżu ucha i zapomniał, o co chciał przed chwilą zapytać. -

Robiąc tak, możesz wplątać się w kłopoty - ostrzegł ją z uśmiechem.

- Wolałabym raczej wplątać się w twoją koszulę - wyszeptala, kładąc mu rękę na piersi.

Na chwilę zabrakło mu tchu.

- Pójdźmy na kompromis. Proponuję spodnie. Roześmiała się i ugryzła go leciutko w ucho. Kiedy pochyliła głowę w poszukiwaniu jego ust, one już czekały wygłodniałe. Zaczęła muskać je lekko wargami, przesuwając delikatnie językiem po najbardziej wrażliwych miejscach.

- Chodź do mnie - powiedział chropowatym, pełnym napięcia głosem.

Posłuchała, śmiejąc się, i zaraz poczuł gorące wargi na swoich. Całowała go coraz mocniej, tak jak się nauczyła od niego. Chciała podniecać go i zaspokajać, jeżeli pozwoli jej robić wszystko ze swoim ciałem, tak jak ona mu pozwalała. Czy on chce, żeby pieściły go jej ręce, jej usta? Czy wyczuje w jej dotyku to wszystko, czego nie potrafiła mu powiedzieć?

- Rye ... ?

- Pocałuj mnie jeszcze raz, tak jak przed chwilą. Nie przerywaj, tak bardzo cię potrzebuję. Szukałem cię tam, na rancho, a ciebie nie było. Nie było cię tam.

Słyszała w jego głosie gniew i zawiedzione nadzieje, że wszystko się zmieniło, zanim zdążył przygotować się na to, że w ogóle może się coś zmienić.

- Tam nie ma dla mnie miejsca - wyszeptala, całując go i nie pozwalając powiedzieć nic więcej. - Ja należę do tej łąki, gdzie jest lato i mężczyzna o imieniu Rye. Po prostu Rye ...

Całowała go powoli, namiętnie, a jego ciało stawało się gorące, naprężone, spragnione. Poczuł, że jej palce odpinają guziki koszuli i zsuwają mu ją z ramion. Nie mógł powstrzymać jęku rozkoszy przy pierwszym kontakcie nagiej skóry z jej ciałem.

- Chodź, chodź bliżej. Tak bardzo cię potrzebuję. Poczula, jak zadrżał, kiedy zamknęła delikatnie zęby na jego twardych sutkach. Potem ocierała się twarzą o jego pierś, a jej ręce ześlizgnęły się niżej i sięgnęły do klamry paska. Spojrzała w górę, milcząco pytając o zgodę. W jego wzroku błyszczała taka namiętność, że zrobiło jej się gorąco.

- Czego pragniesz? - zapytał głosem, w którym wibrowało pożądanie.

- Rozebrać cię.

- A potem ?

- Chciałabym, żeby ... żeby było ci przyjemnie - odparła, przygryzając nieświadomie dolną wargę, a potem ją oblizując - Jeśli się zgodzisz.

- Mam nadzieję, że jeśli umrę, to w twoich słodkich ramionach – wyszeptał.

Zeslizgnęła się w dół jego ciała, zostawiając mu w rękach tylko pasma jedwabistych włosów. Zdjęła po kolei buty i skarpetki, a potem pieściła ciepłą skórę i twarde mięśnie, delikatnie kłując paznokciami, pocierając dłońmi. Leżał spokojnie, nie ponaglał jej, gdyż pragnął tylko takich pieszczot, na które ona sama miała ochotę. Tym razem bez wahania sięgnęła po klamrę i odpięła ją. Zatrzymała się tylko po to, żeby opanować drżenie rąk.

- Nie musisz tego robić-odezwał się cicho. -Jesteś jeszcze taka niewinna. Ja to rozumiem.

- Naprawdę? - spytała, drżąc. - Pragnę cię. Chcę robić z tobą wszystko. Dzisiaj. Teraz.

Zniknęło gdzieś jej wahanie, rozbiierała go dalej z niecierpliwością i oczekiwaniem.

- Dzięki tobie czuję się jak prezent pod choinkę - powiedział, śmiejąc się.

- Bo jesteś prezentem – odrzekła - tyle że... wciąż jeszcze w opakowaniu.

- To dokończ to, co zaczęłaś.

Nie było to łatwe, gdyż Lisa nie chciała odrywać się od niego nawet na chwilę, a i Rye niechętnie wypuszczał ją z objęć. W końcu powoli, z wieloma przeszkodami, udało się jej zsunąć w dół resztę ubrania i cisnęła je na bok, gdzie nie docierała poświata księżycy, sącząca się przez otwarte drzwi chaty.

Sama też zniknęła na moment w tej ciemności, a gdy wynurzyła się stamtąd, była tak samo naga jak on. Uklękła obok, a jej włosy rozsypały się złotą falą po jego ciele.

- Pamiętam, że było lato i łąka, a wszystko drżało, kiedy my drżeliśmy, kołysało się w rytm naszych westchnień. Nie było wczoraj ani jutra, nie było ciebie ani mnie, tylko słońce i to ... - szepnęła i zaczęła pieścić językiem jego nagość. - Pamiętasz?

Nie był w stanie odpowiedzieć. Poddany naglej rozkoszy, zapomniał o całym świecie, nie potrafił wydać głosu, nie znał żadnych słów, nie istniało nic oprócz ogarniającego go szczęścia. Zatracił się w jej gorących, szczodrych pocałunkach, w jej kochających uściskach, aż uzmysłowił sobie, że musi zaraz znaleźć się w niej albo skona.

- Chodź tu - wyszeptał. -- Chodź tu, dziecinko. Chcę cię kochać.

Z ociąganiem, które o mało nie sprawiło, że całkiem stracił opanowanie, wypuściła go ze swych objęć i jęknęła, kiedy sięgnął do jej piersi. Do tego momentu nie uświadamiała sobie, jak bardzo' potrzebuje dotyku jego rąk.

- Blżej - prosił, pieszcząc jej piersi, przyciągając do siebie. -Tak, chodź bliżej, jeszcze bliżej. O, tak. Uwielbiam wszystko, co twoje ... Jeszcze ...

Lisa zakołysała się i zagryzła wargi. Jęczała cicho, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Zatopiła się głęboko w pożerającej ją słodkiej, gwałtownej ekstazie, która zdawała się nie mieć końca. Zaczęła szlochać i wołać jego imię, nie mogąc już dłużej czekać, żeby znów poczuć go w sobie. Wchodził w nią powoli, a ona krzyknęła i objęła go mocno. Zaczęła poruszać się tym samym rytmem, by już za chwilę zatracić się całkowicie w porywających falach rozkoszy. Rye próbował wstrzymać się jeszcze, ale zdołał jedynie mocniej ścisnąć ją w objęciach i zanurzył się w niej cały, zatopił w aksamitnym, gorącym wnętrzu, usiłując zostać w niej jak najgłębiej, jak najdłużej.

W końcu Lisa uniosła głowę. Rye mruknął coś, protestując, i przytulił ją mocniej do siebie. Całowała jego ramiona, zlizywała mgiełkę potu, wsunęła twarz we włosy na jego piersi i drażniła zębami sterczące sutki. Poczula, że Rye znów zaczął na nią napierać i było to wrażenie nie do opisania, jakby przebiegł po niej słaby prąd elektryczny. Uśmiechnął się, kiedy poczuł odpowiedź jej ciała.

- Tym razem zrobimy to bardzo powoli - odezwał się zdławionym głosem, a krew coraz mocniej pulsowała mu w żyłach. - Nie przypuszczasz nawet, jak powoli.

Chciała coś powiedzieć, ale on zaczął poruszać się w niej i wszystko inne przestało istnieć. Przyłgnęła do niego i dała się prowadzić, oddając każdą pieszczotę, dzieląc z nim wszystkie wrażenia i odczucia. Czas się zatrzymał, wszystko zostało odsunięte na bok i zapomniane, zostali tylko oni, złączeni, spleceni ze sobą, nie wiedzący i bynajmniej nie chcący wiedzieć, w którym miejscu jedno z nich się kończy, a zaczyna drugie.

Lisa obudziła się, kiedy świt ledwo zaczął różowić dalekie szczyty gór. Przez chwilę przyglądała się Rye'owi, śpiącemu z wyrazem spokoju na twarzy, a potem ostrożnie, żeby go nie zbudzić, wyslizgnęła się z płataniny koców i szybko ubrała. Włożyła kilka rzeczy do plecaka, zasnurowała go i cicho wymknęła się z chaty. Ziemię pokrywał szron, który błyszczał jeszcze intensywniej przez wiszące w jej rękach lzy. Był przymrozek i wiedziała, że to koniec lata, nawet jeżeli południe będzie jeszcze upalne. Osiodła stojącego cierpliwie wałacha i poprowadziła go w stronę drogi.

Rye'a obudził ochryply krzyk sójki. Z zamkniętymi oczami wyciągnął rękę, ale zamiast Lisy znalazł jedynie zimne koce. Wstał, podszedł do drzwi i wyjrzał na dwór. Wszystko pokrywał biały szron. Nie było śladu dziewczyny, nie widać było nigdzie dymu ogniska. Wydawało mu się, jakby coś w wyglądzie tego miejsca się zmieniło, ale w końcu uznał, że to wrażenie wywołane przez tę biel pokrywającą ziemię.

- Lisa?

Panującej wkoło ciszy nie zakłócił żaden dźwięk. - Lisa!

Przenikliwy chłód sprawił, że Rye zdał sobie wreszcie sprawę z tego, że jest nagi i cały trzęsie się z zimna. Wrócił do środka i ubrał się szybko, przez cały czas mówiąc sobie, że nie stało się nic złego, a Lisa po prostu jest gdzieś dalej na łące i dlatego go nie słyszy.

- Cholera jasna - mruknął, wciągając buty. - Już naprawdę mam dosyć tego, że ona zawsze znika, kiedy tylko się odwracam. Potrzebuję jej bardziej niż ta przeklęta łąka.

Wspomnienie minionej nocy wróciło tak nagle, że aż zrobiło mu się gorąco. Nie spotkał nigdy kobiety oddającej się tak całkowicie, pragnącej tylko jego i nie żądającej niczego w zamian.

Właśnie tyle jej dał. Po prostu nic. A ona i tak czekała na niego, biegła do niego w ciemności. Chciała jego, tylko jego. Rye'a.

Zastygł nagle podnosząc kurtkę z podłogi. Ogarnął go dziwny niepokój, który usiłował zignorować od chwili, kiedy przebudził się i okazało się, że Lisy nie ma. Dlaczego płakała w nocy? Czy może czegoś od niego oczekiwała? Ale nigdy przecież o nic nie prosiła.

A kiedy łzy przestały płynąć, kochała się z nim tak, jakby obsypał ją klejnotami.

Zdenerwowany wyszedł rozejrzeć się po łące, poszukać jakiegokolwiek śladu obecności Lisy. Mrużąc oczy powiódł wzrokiem po całej okolicy, po czym odwrócił się i wszedł z powrotem do chaty, próbując zignorować złe przeczucia.

- Równie dobrze mogę zaparzyć kawę - powiedział do siebie. - Cokolwiek teraz ona robi, to nie może potrwać długo. Jest tak zimno, a Lisa nawet nie ma porządnej kurtki. Powinna być na tyle rozsądna, żeby wziąć moją.

Już w chwili, kiedy to mówił, zdał sobie sprawę, że nigdy nie wzięłaby jego kurtki, nawet myśl o tym nie przysłałaby jej do głowy. Była przyzwyczajona do obywania się bez mnóstwa rzeczy, które większość ludzi traktowała jako niezbędne. Nagle przyszedł mu do głowy pomysł, który tak mu się spodobał, że przystanął i uśmiechnął się do siebie. Kupi jej kurtkę w kolorze jej oczu i będą razem się cieszyli, kiedy otuli ją, osłoni przed największymi zimowymi chłódami. Wciąż się uśmiechając, podszedł do ogniska i zatrzymał się w pół kroku, czując, że krew ścina mu się w żyłach.

Pod pokrywą szronu nie było paleniska, nie było rusztu ani osmolonego dzbanka, ani żadnych innych przedmiotów. Wyglądało, jakby Lisa nigdy nie grzała tu sobie rąk przy ogniu, nie częstowała głodnych przybyszów świeżo upieczonym chlebem i mocną kawą.

Odwrócił się i popatrzył na łąkę, zbyt późno zdając sobie sprawę, co w jej wyglądzie tak mu się nie podobało. Na pokrytej bielą ziemi nie było żadnych śladów, żadnego znaku, że poszła sprawdzić swoją hodowlę.

Ona po prostu odeszła.

Wmawiając sobie, że się myli, pobiegł do chaty.

Szarpnął za drzwiczki szatki i zobaczył, że jest pusta. Nie pozostało śladu bytności Lisy. Nie było plecaka ani aparatu fotograficznego, ani filmów, ani zeszytów z notatkami czy torebek z nasionami. Nic, oprócz pogniecionej papierowej torby, wsuniętej w najdalszy kąt najwyższej półki i najwidoczniej zapomnianej. Patrzył na nią długo, przypominając sobie, że ją już przedtem widział, przypominając sobie ból w oczach Lisy, gdy odkryła jego tożsamość, i to, że zabrała wtedy torbę z jego rąk; mówiąc, że to było przeznaczone dla Rye'a, nie dla Bossa Maca, który nie potrzebuje takich prezentów.

Powoli wyjął porzuconą torbę z szatki. Podszedł do miejsca, gdzie słońce wpadało przez otwarte drzwi i zobaczył, że jest w niej męska koszula - szara, z delikatnymi plamkami błękitu i zieleni, uszyta z miękkiego, lśniącego jak jedwab lnu. Pogłaskał ją bardzo delikatnie, jakby obawiał się, że to tylko dym, który rozwieje się przy najmniejszym ruchu. Pogładził palcami guziki - były niezwykle gładkie, z delikatnym wzorem - i zdał sobie sprawę, że są zrobione z kości słoniowej lub rogu.

- Gdzie ona coś takiego znalazła? - wyszeptał ze zdziwieniem. - I skąd, na Boga, miała tyle pieniędzy, żeby to kupić?

Zajrzał do środka, gdzie pod kołnierzykiem większość koszul ma metkę. Tu nie było nic, ale zwrócił uwagę, że wykończenie jest staranniejsze niż kiedykolwiek widział. Rozpiął koszulę i przejrzał boczne szwy, gdyż najbardziej ekskluzywne domy mody tam też umieszczały metki. Tutaj również nic nie znalazł. Z niedowierzaniem przesunął jeszcze raz palcami po tych niezliczonych, drobnutkich szwach, mówiąc sobie, że to nie może być prawda, że ona nie byłaby w stanie uszyć tego przy pomocy tych paru przyborów, które mieściły się w plecaku. Nie dałaby rady wyciąć guzików z rogu i

wypolerować ich tak, żeby miały gładkość satyny. Nie mogłaby spędzić godziny za godziną, siedząc po turecku na podłodze chaty i szyjąc, szyjąc, szyjąc aż do zachodu słońca, kiedy to musiała odkładać robotę do następnego dnia. A kiedy dowiedziała się, kim on jest, odjechała, nie wspominając nawet o tym prezencie, któremu poświęciła tak wiele wysiłku i troski.

"Co jest w tej torbie?"

"Nic, czego byś potrzebował".

Na chwilę zamknął oczy, nie mogąc znieść bolesnej prawdy. Lato się skończyło i Lisa odkryła, że mężczyzna o imieniu Rye nie istnieje poza łąką, w realnym świecie. Ochraniając siebie tak zawzięcie, zranił ją, złamał jej serce i na dodatek nie zdawał sobie z tego sprawy. Aż do chwili obecnej.

"Co jest w tej torbie?"

"Nic, czego byś potrzebował".

Powoli zdjął kurtkę, potem spłóciała roboczą koszulę i włożył prezent uszyty przez Lisę dla Rye'a, kowboja nie posiadającego ani grosza.

Koszula pasowała na niego idealnie.

Lisa skierowała konia na trakt, który odchodził od starej drogi i wiódł w kierunku sąsiedniego rancho, skąd do miasta było już tylko ze dwa kilometry. Nosy natychmiast zwolnił kroku. Próbowła popędzić go, najpierw głosem, a potem i obcasami. Koń niechętnie przyśpieszył, by zaraz zwolnić, kiedy tylko puściła wodze. Zachowywał się tak, jakby nogi przyklejały mu się do ziemi, i najwyraźniej chciał zawrócić do swojej stajni. Próbował stawiać dęba na widok każdego cienia, skręcać we wszystkie boczne ścieżki, strzygł uszami i z oczu wyzierało mu niezadowolenie.

- Słuchaj - odezwała się Lisa głośno, pochylając się do łba upartego zwierzęcia. - Wiem, że to nie jest droga na twoje rancho, ale ja chcę właśnie tędy pojechać. - Jesteś tego pewna?

Uniosła głowę i z niedowierzaniem spojrzała przed siebie. Rye obserwował ją siedząc na Devilu. Czarna sierść konia błyszczała od potu, nozdrza rozdymały się, chwytając z wysiłkiem powietrze. Kawalki gałązek i liści przyczepiły się do siodła i uprzęży.

- Jak tu się ... ? - Głos jej się załamał.

- Na skróty - odparł Rye krótko.

- Nie powinieneś być za mną jechać - powiedziała, usiłując powstrzymać łzy. - Chciałam, żebyś zapamiętał mnie, jak się śmieję.

- Musiałem cię dogonić. Zostawiłaś coś ważnego. Bezradnie patrzyła, jak rozpina kurtkę. Zbladła, widząc, że ma na sobie uszytą przez nią koszulę.

- Nie ... nie rozumiesz - rzekła z trudem, przestając zważać na płynące łzy. - Zrobiłam t.. to dla kowboja Rye'a. Ale on istnieje tylko podczas lata, na łące. Tak jak i ja.

- Mylisz się. Istnieje naprawdę, i ty też. Chodź do mnie, maleńka.

- Nie myślę, żeby ... - zaczęła drżącym głosem.

- Myślenie zostaw już mnie - powiedział specjalnie szorstkim głosem. - Chodź bliżej, dziecko.

Bliżej.

Zamknęła oczy, żeby oprzeć się pokusie dotknięcia go. Mimo że stał blisko, wiedziała, że tak naprawdę jest poza jej zasięgiem. Nagle Rye bez ostrzeżenia spiął konia, znalazł się tuż niej i porwał w ramiona. Uniósł ją z siodła i trzymał mocno w objęciach. Zanurzył twarz w jej włosach, nie starając się nawet ukryć drżenia, kiedy jej ręce powoli objęły go za szyję i uściśniły z całej siły.

- To nieważne, czy jest lato, czy zima, łąka czy rancho - odezwał się po chwili. - Rye czy Boss Mac, czy Edward Ryan McCall Trzeci, to wszystko nie ma znaczenia. Wszyscy oni cię kochają. Ja cię kocham. Kocham cię tak bardzo, że nie mogę doczekać się, żeby ci to powiedzieć.

Całował ją powoli, czule, chciał pokazać w ten sposób, jak bardzo ją kocha, jak bardzo potrzebuje. Czuł, że po policzkach spływają mu jej gorące łzy, i słyszał słowa miłości wypowiedane na przemian z urywanym szlochaniem. Tulił ją mocno i wiedział, że już nigdy nie obudzi się samotny.

Wzięli ślub na łące, a otaczająca ich przyroda zachwycała swoim bogactwem. On miał na sobie uszytą przez Lisę z taką miłością koszulę i od tej pory nosił ją w każdą rocznicę tego dnia. Pory roku przychodziły i odchodziły, tak jak to następowało od wieków. Łąka rozbrzmiewała śmiechem ich dzieci, a potem dzieci ich dzieci, kiedy odkrywały pełnię życia, jaką łąka знаła od początku istnienia.

Gorączka zmysłów, znana jako miłość, nie jest ograniczana ani przez pory roku, ani przez miejsce, ani też przez mijający czas.

